



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

El y.

Z CYKLU „NAD GŁĘBIAMI.“

IV.

Po wszystkie czasy, przez obszar daleki,
Wiążą się istnień kolejne ogniwa;
Fala pokoleń, wielkie ludów rzeki —
Wszystko w ocean jeden wspólny sływa,

Który zasila coraz dalsze wieki...
Z rzeszą zniknionych ciągle rzesza żywa,
Jako strumienie, mieszają swe ścieki
I jedna drugą ze sobą porywa.

Wszyscy są wspólną związani macierzą —
Umarli, żywi, wielcy, czy też mali,
Wrogowie, bracia, dalecy lub bliźcy —

Jedni od drugich nawzajem zależą,
Odpowiadając, na wypadków fali,
Každy za wszystkich, za każdego wszyscy!

V.

Na dzieci spada win ojcowskich brzemię,
Lud pokutuje za grzechy zbrodniarza;
Každy gwałcące sprawiedliwość plemię —
Cierpień i nieszczęść ludzkości przysparza.

Złe, jak zaraza, w lot obiega ziemię...
A czy na sobie łachman ma nędzarza,
Czy też w książęcym kroczy dyademie —
Zatrutem tchnieniem cały świat zaraża.

Wobec praw, światem rządzących wszechwładnie
Nikt ująć nie może złych wpływów przekleństwa;
Każdemu w dziale część winy przypadnie

Nawet za cudze zbrodnie i szaleństwa;
Bo każdy nosi w duszy swojej na dnie
Odpowiedzialność wspólną człowieczeństwa.

VI.

Dzień, w którym jeden z grzesznych braci koła,
Najświętsze prawa zdeptawszy niegodnie,
Rozpali krwawą pożarów pochodnię,
Widziadło mordów na ziemię przywoła

I zaćmi światła narodów przewodnie —
Dzień ten jest klęską dobrego anioła,
I Ludzkość cała, chyląc kornie czoła,
Winna za syna pokutować zbrodnie!

Winna obchodzić we łzach i żałobie
Grzech, który nową klątwą ją obarczy
I zwróci z drogi ku jaśniejszej dobie....

Powinna szukać przeciw złemu tarczy,
Poznaniem prawdy potęgując w sobie
Miłość, co środków zbawienia dostarczy.

KSIĘŻNA JADWIGA

z Hr. Zamojskich

LEONOWA SAPIEŻYNA.

(Dokończenie).

Za pobudką księcia Leona, jego głównie staraniem i pracą, w epoce onej utworzone zostało *Towarzystwo kredytowe ziemskie*, najpierwsza instytucja finansowa w Galicyi, dalej *Kassa Oszczędności* i wzorowo uorganizowana *szkoła rolnicza w Dublanach*, której utworzenie stanowczo wpłynęło na przeobrażenie gospodarstwa rolniczego w kraju. Książę Leon wypracował *statut organizacyjny* dla miasta Lwowa, w sejmach postulatowych torował drogę do *oczynszowania włościan*, starał się o przeprowadzenie *pierwszej linii kolejowej* w Galicyi, aby kraj dotąd odosobniony ekonomicznie i handlowo, związać z całym obrotem handlowym zagranicznym i zbliżyć do wielkich targów europejskich. Słowem: gdziekolwiek rzucimy okiem, rozpatrując się w dziejach Galicyi onych lat trzydziestu, wszędzie obaczymy czynną rękę księcia Leona Sapiehy, na każdym kroku spotykamy się z jego imieniem i inicjatywą, widzimy go stojącego na czele wszystkich spraw publicznych, mających na celu dobro społeczeństwa i podźwignienie kraju.

Równie czynną w innym, właściwym sobie, zakresie była księżna Leonowa. Podczas, gdy książę oddał się, jak widzimy, pracom na polu ekonomicznym, dostojna jego małżonka, z tąsamą gorliwością, z powołaniem prawdziwie chrześcijańskim, zajęła się dziełem publicznego miłosier-

dzia. Jak pod względem ekonomicznym, tak samo była Galicya ubogą pod względem humanitarnym i filantropijnym. Kalcetwo, choroba, sieroctwo, wszelkiego rodzaju niedostatek i ubóstwo, pozostawione bez przytułku, nie miały dokąd udać się o ratunek i wsparcie. Księżna Leonowa stała się opiekunką ubogich całego Lwowa, widoczną ręką Opatrzności Bożej. Oddawszy się dziełom miłosierdzia, gromadziła wokół siebie zastęp ludzi, ożywionych tym samym duchem, do wspólnej powołując ich pracy. Wpływem swego stanowiska i osobistych przymiotów, przykładem i zapobiegliwością w szerokich kołach jednala zwolenników swym pracom chrześcijańskim, przemawiała do serc, zdobywała fundusze, potrzebne do utworzenia całego szeregu dobroczynnych zakładów, któremi Lwów szczyli się dzisiaj, gdzie ubodzy znajdują przytułek, chorzy pomoc lekarską, a sieroty macierzyńską opiekę i wychowanie. Doznawszy sama ciężkich ciosów boleści, albowiem straciła siedmiorgo dzieci już w wieku dorosłym, tak, iż z ośmiorga potomstwa został tylko jeden najstarszy syn Adam—księżna, przyjmując z rezygnacją chrześcijanki doznane ciosy, szukała ukojenia w niesieniu ulgi nieszczęśliwym w ciężkiej ich doli.

Po osiedleniu się we Lwowie zajęła się najpierw *Towarzystwem św. Wincentego a Paulo*, którego członkowie, za jej przykładem, odwiedzając ubogie poddasza po wszystkich miastach dzielnicach, wyszukiwali ubogich i chorych zwłaszcza pozabawionych pracy, a wstydzących się żebrać, i zaopatrywali ich kosztem towarzystwa dostarczaniem wiktualiami, odzieżą lub pieniędzmi, jak gdzie było potrzeba. Po najuboższych zaułkach, na najdalszych przedmieściach widywano księżną, jak osobiście odwiedzała chorych, wyszukiwała ubogich, niosąc im pociechę dobroczynną ręką i słowem. Za przykładem księżny panie lwowskie świata arystokratycznego i mieszczańskiego, zaczęły skwapliwie garnąć się do towarzystwa i zajmować pełnieniem uczynków miłosiernych, aby się nie dać w szlachetnym prześcignąć spółzawodnictwie. Można powiedzieć, że księżna obudziła we Lwowie ducha chrześcijańskiego miłosierdzia, który za jej pobudką coraz szerszym rozżarzał się płomieniem.

Prócz wyszukiwania ubogich rodzin po domach i opiekowania się nimi, zaczęło towarzystwo rozdawać w porze zimowej *zupę rumfordzką*, przedtem nieznaną we Lwowie. W roku 1846, gdy straszna klęska rzezi tarnowskiej osierociła tysiące rodzin, zajęła się księżna utworzeniem przytułku dla wdów i sierot, chroniących się podówczas do Lwowa. Tak powstał *Dom roboczy*, w którym wdowy po ofiarach rzezi znalazły dach opiekuńczy, zatrudnienie i zarobek. W utworzonym zakładzie wychowawczym, nazwanym *Cerownia*, pomieszczono biedne osierociałe dziewczęta, gdzie obok religii i nauk początkowych uczono je robót kobiecych i tego wszystkiego, co im mogło na przyszłość uczciwe zapewnić utrzymanie; zaś na pomieszczenie osierociałych chłopców założona została za staraniem księżny *Mala bursa*, aby mogli kończyć nauki odpowiednio i usposobić się na pożytecznym społeczeństwu ludzi.

Z czasem *Dom roboczy* i *cerownia* rozwinęły się na szerokiego rozmiaru Zakład, istniejący obecnie pod nazwą *Zakładu św. Teresy*. Za staraniem księżny stanęły piękne zabudowania wraz z kaplicą, otoczone rozległym ogrodem na *Nowym Świecie*, przy dzisiejszej ulicy księcia *Leona Sapiehy*. Szczególniejszą opieką otoczyła księżna ten zakład, poświęcony ku uczczeniu pamięci ostatniej zmarłej córki, księżniczki *Teresy*. Skutkiem jej zapobiegliwości i niestrudzonych starań o zgromadzenie funduszy dla utrwalenia bytu zakładu, posiada on już dzisiaj zapewnione uposażenie. Księżna bowiem była niewyczerpaną w pomysłach o przysporzenie źródeł dochodu tak temu zakładowi, jak i wogóle wszystkim przez nią utworzonym i pod jej opieką pozostającym. Ona wprowadziła we Lwowie tego rodzaju zabawy, jak loterye fantowe, festyny ogrodowe, „wenty“ i bazyry świąteczne, pod jej kierunkiem zawsze obficie się opłacające. Zakład św. Te-

resy pod zarządem *Siostr Opatrzności*, jest obecnie jednym z najpierwszych w rządzie zakładów dobroczynnych miasta Lwowa. Obejmuje on także osobny *dom przytułku i pracy* dla dziewcząt upadłych, chcących powrócić na drogę cnoty, zgłaszających się w tym celu w znacznej liczbie do zakładu. Obok zatrudnienia, nauki i moralnej poprawy, znajdują one jeszcze, wychodząc z zakładu, opiekę czuwającą nad zabezpieczeniem dalszego ich losu, dostarczaniem pracy lub służby dla przyzwoitego utrzymania.

Uczyniwszy tyle dla ubogich i zaniedbanych warstw społeczeństwa, pomyślała księżna Sapieżna o tem pokoleniu dziecięcym, którego setki giną przedwczesną śmiercią, pozbawione należytego starania lekarskiego, na przeróżne choroby niemowlęce. Sercem macierzyńskim odczuła ona losy i cierpienia tego maleństwa i boleść biednych rodziców, nieposiadających możności ratowania dotkniętego chorobą dziecięcia. Ktokolwiek, będąc we Lwowie, przejeżdżał Przedmieściem Łyczakowskim, tego uderzył zapewne widok pięknych, w pobliżu głównego szpitala, tuż przy Ulicy Łyczakowskiej położonych, otoczonych obszernym ogrodem zabudowań, o kilku pawilonach. Jest to *szpitalik dziecięcy św. Zofii*, założony staraniem księżny i przez nią zebranymi funduszami. Pierwotnie mieścił się ten szpitalik o kilkunastu łózeczkach w oficynie zabudowań rękodzielniczego stowarzyszenia *Skala*, którego to stowarzyszenia oboje księżtwo byli zdawna głównymi protektorami. Z biegiem czasu wzrastała coraz bardziej liczba zgłaszających się do szpitalika chorych dzieciątek, tak, iż rozszerzenie jego stało się rzeczą niezbędną. Jakoż nie szczędziła księżna Leonowa zapobiegliwych starań, dopóki nie wzniósł się gmach dzisiejszy, a mały pierwotnie szpitalik nie został z komornego na własny grunt przeniesiony. Dzisiaj zakład ten pozostający pod kierunkiem znakomitych lekarzy p.p. *Merczyńskiego*, jako naczelnego dyrektora i *Kniaziołuckiego*, specjalisty od chorób dziecięcych, mającego w tym względzie ustaloną już sławę, posiada sto dwadzieścia łózek przy wzorowym urządzeniu wszystkich działów. Tyśiące matek błogosławi założycielkę tej instytucji dobroczynnej.

Najnowszem, ostatniem dziełem księżny na polu dobroczynności publicznej jest założony przed kilku laty *Dom Opatrzności*, którego celem jest danie przytułku i zatrudnienia ubogim obojga płci, żyjącym przedtem z jałmużny i żebraniny ulicznej. Mają oni tu pomieszczenie, pożywienie i stosowne do swego wieku i zdadności zatrudnienie za wynagrodzeniem, z którego z końcem tygodnia potrąca się każdemu należytość za wikt i utrzymanie w zakładzie, resztę zaś otrzymuje każdy gotówką. Rozumie się, że ta opłata za wikt i utrzymanie obliczona jest jak najniżej, i nie wyrównywa istotnym kosztem przez zakład poniesionym, a pobiera się głównie dla tego, ażeby odzwyczaić nawykłych do żebraniny od spuszczenia się na obcy grosz jałmużniczy. Najrozmaitsze rodzaje robót zaprowadzone są w zakładzie. Kobiety przędą, szyją, kleją pudełka na zapalki, wstążki i t. p., skubią wełnę. Mężczyźni mają swoje zatrudnienia. Jest tu warsztat stolarski, szewcki, krawiecki. Ponieważ zaś nie ma w samym zakładzie dosyć miejsca na pomieszczenie pod jednym dachem wszystkich doń przyjętych, przeto dla znacznej ich liczby wynajmuje zarząd Domu Opatrzności pomieszkania osobne w domkach, licznie na tem przedmieściu rozrzuconych w pobliżu lasku św. Zofii. Tam udają się oni na noc a dzień spędzają w zakładzie przy robotcie.

Powyższe wyliczenie, jakkolwiek suche i pozbieżne, jest samo przez się najlepszą ilustracją działalności księżny Leonowej Sapieżny na polu filantropii. Wzniosły cel chrześcijańskiej miłości bliźniego przyświecał jej nieprzerwanie przez cały ciąg szlachetnie spędzonego żywota. Od dwóch lat księżna usunęła się, z powodu powodu podeszłego wieku ze Lwowa i przebywa najczęściej w *Krasieczynie* pośród grona rodziny. Jakże piękny jest wieczór życia, takim owocem bogaty, opromieniony poczuciem dnia pożytecznie

spędzonego wdzięcznością i błogosławieństwem ziomek, miłością i czcią powszechną!

Władysław Zawadzki.

POGA WĘDKA

Na porządku dziennym mamy obecnie zdrowie. Wystawa higieniczna zwróciła uwagę całą w tym kierunku; mówimy o zdrowiu, czytamy o zdrowiu, piszemy o zdrowiu i przekonywamy się ze wszystkiego, że nam do normalnego zdrowia wielu warunków nie dostaje.

Ani powietrze nasze, ani woda nasza, ani pożywienie nasze nie wytrzymuje zupełnej, ścisłej krytyki sanitarnej; pomijam inne czynniki, które nam krew psują, żółć rozlewają, odbierają sen i apetyt, narażają na uderzanie humorów do głowy. Tych nigdzie nie brak: dlaczegożby u nas miało być lepiej, niż gdzieindziej?...

Filozof niczemu się nie dziwi i niczem nie irytuje, ale świat nie może się składać z samych filozofów, najpierw dla tego, że byłby dyabelnie nudnym i zanadto poważnym, a powtóre, że głupcy są na świecie konieczni potrzebni dla samego kontrastu.

Zresztą i tak, co do nas, za dużo mamy ludzi, którzy albo nie myślą, albo za długo się namysłają na wzór onych przysłowiowych indyków. Zastrzeżenie należy się dla wyjątków, umiających szybko myśleć, dobrze się orientować i popieszniej działać.

Do nich muszę zaliczyć między innymi d-ra *Józefa Polaka* i cały komitet wystawy higienicznej na *Ujazdowie*.

O d-rze *Józefie Pollaku* wiecie co najwięcej, że jest redaktorem „*Zdrowia*“, tygodnika, streszczającego swój cel i charakter w samym tytule; dzisiaj nazwisko to nabrało rozgłosu, odkąd wystawa higieniczna przysłała do skutku z inicjatywy młodego lekarza, który przed rokiem niespełna powziął myśl i wbrew wszelkim powątpiewaniom, urzeczywistnił ją faktycznie.

Wzruszano ramionami z początku, dziwiono się, przedrwiwano; co to z tego będzie?... Warszawa, to nie Paryż, ani Berlin, ani Bruksela. Dajcie pokój, narazimy się na śmieszność!... Otóż okazało się, że trzeba mieć trochę więcej energii i wytrwałości od innych, trzeba wiary w siebie i w pożyteczność swoich zamiarów,—dużo dobrych chęci i łykowatej natury, która się nie łatwo zraża: a można nawet w najtrudniejszych warunkach postawić na swoim i doprowadzić do celu projektu najmniej prawdopodobne.

Dr *Polak* złożył tego dowody; nie należy on wcale do ludzi, którzy z powierzchowności swojej budzą zaufanie i wyglądają na ruchliwych, energicznych, wymownych. Przeciwnie, młody lekarz przypomina wielce fizjognomią swą dawnych „oryginałów“, nie dba o pozory, jak wielu jego kolegów; nie nosi się według żurnalu, powozu nie trzyma, nie pokazuje się w miejscach publicznych, w świecie nie bywa, żyje skromnie, cicho, odosobniony i zamknięty w sobie, poza higieną niewiele rzeczy go na świecie zajmuje.

A jednak ów niepozorny człowiek dokonał rzeczy bardzo ważnej: przyprowadził wystawę higieniczną do skutku, a co więcej, urządził ją na podziw laików, a uznanie specjalistów

Pójdźcie na *Ujazdów* i zobaczcie to miasto zdrowia, zwane *Hygeopolem*; nie zechcecie oczom własnym uwierzyć, co to w ciągu kilku tygodni powyskakiwało zpod ziemi, rozłasowało się w czterdziestu kilku kioskach i pawilonach, ułożyło, ustawiło, uporządkowało i utworzyło całość niezmiernie zajmującą.

* * *

Nie było planów, nie było funduszy, nie było miejsca na wystawę, gdy się jej pomysł urodził w głowie d-ra *Polaka*, a jednak wszystko powoli

się znalazło—i projekt, zamiast maleć, wzrastał w ciągu swojego urzeczywistniania. Komitet sam się nie spodziewał, że tak pomyślnie rozwiną się jego pierwotne plany, przy protekcji i pomocy ludzi chętnych i wpływowych.

Protektorką wystawy została czcigodna Augustowa hr. Potocka, prezesem—sędziwy dr Szokalski Wiktor, sekretarzem Dr Polak, wiceprezesami pp. Łuszczkiewicz professor, Grotowski, inżynier miejski i Janicki, znakomity technik, jeden ze współpracowników budowy Kanału Suezkiego.

Przewidując możliwy niedobór, postarano się o ofiary kilkudziesięciu obywateli, którzy możliwe straty zgodzili się pokryć dobrowolnie ze swoich funduszy; ale, oile dziś już z powodzenia wystawy, pomimo nieprzychylniej pogody, wnioskować można, ofiarność ich okaże się zbytęzną; wydatki dadzą się pokryć z dochodów, a czysty zysk obrócony zostanie na założenie pierwszego w kraju Muzeum Hygienicznego.

Ten fundusz zakładowy mógłby się znakomicie powiększyć, gdyby szlachetni ofiarodawcy zechcieli przypuścić, że wystawa pod względem materialnym zrobiła rzeczywiste *flasco* i przyrzeczonych ofiar swoich po jej zamknięciu nie cofnęli; zamiast pokrywać niedobór, możnaby powiększyć nadwyżkę i od razu przystąpić do wykonania drugiej połowy projektu d-ra Polaka, który upamiętniłby w trwalszy sposób istnienie pierwszej higienicznej wystawy w Warszawie.

Żałuję, że nie jestem specjalistą i że nie mogę napisać sprawozdania szczegółowego z oceną tysięcy ciekawych okazów, począwszy od pierników zdrowia a skończywszy na bakterjach, stanowiących najmłodniejszą i najbardziej zajmującą część wystawy. Zwyczajni śmiertelnicy, przechadzając się po alejach, ścieżkach, placach i pawilonach Hygeopola, w dziesiątej części nie mogą ocenić należyte tego, na co patrzą, a jednak z podziwieniem i szacunkiem spoglądają na takie rzeczy, jak próbka tunelu murowanego, przedstawiającego sposób budowy kanalizacji, lub filtry przy nowych wodociągach, jak wzorowo murowany dom p. Granzowa, wzorowo urządzona szkoła z wszystkimi przyborami do nauki, model izby szpitalnej, etc. etc.

Wiele osób poraz pierwszy ma tu sposobność zobaczyć zbieranie krowianki do szczepienia ospy dzieciom z brzucha ciepłych cieląt, albo wściekłe króliki w rozmaitych stadiach rozwoju hydrofobii, które oglądać można w pracowni d-ra Bujwida, albo słynne dziś bakcylle i preparata patologiczne, przygotowane przez naszych uczonych lekarzy, pracujących na polu wiedzy medycznej.

Dla oka zrobiono również bardzo dużo; estetyczne względy, nie zostały pominięte. Plac wystawy symetrycznie podzielono na kwadraty, koła, łukowate wycinki, pokryte trawnikami i roślinnością, urządzono fontannę, sadzawkę, w której nurek w całym rynsztunku popisuje się codziennie w wylawianiu przedmiotów wrzucanych na dno basenu, wykreślono olbrzymi zegar słoneczny, poustawiano allegoryczne posągi, umieszczono dwie orkiestry, strażacką i włościańską, postarano się o wszelkie wygody żołądka pustego i pełnego, słowem: zrobiono wszystko, co można było zrobić w danych warunkach. Zasluga rzadka, że dotrzymano terminu i pokończono wszystko na dzień oznaczony i godzinę; nawet katalog wydrukowano przed samem otwarciem z wylizaniem okazów i informacyjnym poglądem na znaczenie każdego działu.

Przyznaję się, że spędziłem bardzo przyjemnie i pożytecznie jeden dzień na wystawie, a obiecuję sobie przy lepszej pogodzie w towarzystwie „całej Warszawy“ odwiedzić ją jeszcze kilka razy; pójdę umyślnie w porze obiadowej, aby się znowu posilić w pawilonie Tanich Kuchni, które w tych ciężkich czasach są dla mnie niepojętą instytucją kulinarną, mogącą za kilka dziesiątek żywych stołowników zupa, mięsem, i porcją pieczenia z chlebem, zdrowo, czysto smacznie i obficie.

Lubię płeć piękną, nie lubię usługi kobiecej, a jednak mógłbym się z nią pogodzić, gdyby

wszystkie restauracyjne „panienki“, które tak często odbierają gościom apetyt do najsmaczniejszego mięsa,—wzorowały się na owej usłudze w tanich kuchniach na wystawie i podlegały regulaminowi tam obowiązującemu.

* * *

Przez szklaną ścianę goście mogą patrzeć na wewnętrzne urządzenie kuchni i sposób przyrządzania potraw; gdyby ten zwyczaj zaprowadzono w naszych restauracjach, nawet najbardziej renomowanych, jak się to zdarza w niektórych jadłodajniach paryzkich, wstawilibyśmy często od stołu, nie dojadłszy pierwszej potrawy.

„Tanie“ kucharki spełniają zaś swój obowiązek wzorowo, jadła nie wolno im dotykać palcami, do wszystkiego mają odpowiednie przyrządy, budzące zawsze więcej zaufania od paluszków najdokładniej wymywanych.

Wiadoma rzecz, że stołownikami tanich kuchni są przeważnie studenci, młodzież i ludzie niezamożni, którym nie starczy na prowadzenie gospodarstwa; jednak uczęszczanie mogłoby się zwiększyć ze względów oszczędności, gdyby wszyscy, co nie mają środków na utrzymanie własnej kuchni, młode małżeństwa bezdzietne, osoby samotne bez rodziny żyjące, korzystać chciały z tej jadłodajni, utrzymywanej nie dla zysków i spekulacji.

Panuje u nas fałszywe przekonanie, że „tania kuchnia“ jest instytucją filantropijną, skutkiem czego ubliża to ambicyjni nieuzasadnionej pewnych osób jeść, jakby z łaski; a tymczasem jest to tylko zakład gastronomiczny, doprowadzony do minimum wydatków na swoje utrzymanie. Potrzeba tylko, aby się opłacał, a opłacać się może przy jaknajwiększej ilości obiadów, wydawanych nie tylko na miejscu, ale i do domów prywatnych.

* * *

Zielone Świątki rzeczywiście są w tym roku zielonemi, jakkolwiek Maj i chłodem dmuchał i dżdżysty był, i gradem sypnął; jakoś się to wszystko załatało, wyschło, wygrzało i zaczynamy letni karnawał pod wypogodzeniem niebem na wyświeżonej ziemi.

Kto może, rozpoczyna też willegiaturę, zaniechawszy wyjazdu za granicę; ale u nas to tak, jedna cnota z konieczności natrafia na niecotę, która ją chce wyzyskać. Dlatego, że wyszło z mody (nazwijmy to w ten sposób) trwonić grosze zagranicą, zdzierają nas w kraju właściciele letnich mieszkań; to świeże powietrze swoje każą nam na wagę złota opłacać. Gdybyż jeszcze postarano się o odpowiednie wygody!... gdzie tam. Ludek nasz np. ma równe uprzedzenia do zaćmienia słońca i komety, jak do „powietrzników“, których mu Warszawa na wieś przysyła; przekonany jest, że taki mieszcuch na letniem mieszkaniu chce go pokrzywdzić i wyzyskać, więc na swoje produkta nakłada na miejscu podwójne ceny, wymawia się od sprzedaży i umyka z jajami, kurczętami, jarzyną na targ do Warszawy, gdzie, nie licząc fatygi i straty czasu, za połowę potem sprzedaje wszystko.

Willegiatura w okolicach blizkich miasta z tego względu mniej jest dogodną i oszczędną, niżby się wydawać mogło; któżby przypuścić, że prowiantować się trzeba w Warszawie, mieszkając pod Warszawą?—a niestety, tak bywa.

Doświadczenie uczy rozumu; może i nasze baby zmądrzeją.

Nie stanie się to wszelako tak rychło, jeżeli powstawać będą pomiędzy niemi takie apostołki ciemnoty i zawracania głów, jak Franciszka Ch. w Kondradowie pod Ciechanowem, o której czytałem w *Korrespondencie Płockim* wiadomość, że zaczęła krzewić nową sektę pomiędzy ludem. Wyciska ona z jagód jakiegoś wina i odprawia msze i nieszpory, posługując się łaciną własnego wynalazku: „In nece, pace, krakus. etc.“

Apostołka jest wdową, ma córkę, która opowiada o niebiańskich wizjach, ogłupia młode dziewczęta wiejskie, słucha spowiedzi i głośno

swoje grzechy wyznaje, odprawia modły po lasach w cieniu dębów i t. p. praktyki odbywa.

Cóż dziwnego, że potem do obalamuconych głów łopata nie można włożyć jaśniejszego pojęcia i poglądu; a tak go wiele jeszcze braknie naszemu ludowi.

Gazeta Radomska wspomina o chłopku, który w mieście na targu przysięgał się, że widział trzech antychrystów, pędzących drogą na dyabelskich kołach; widziały ich i jego szkapę wystraszone, które wywróciły mu wóz i potłukły ją w kobiałce. Trudno mu było wyłomaczyć, iż mniemane antychrysty to zwyczajni śmiertelnicy, zwani na świecie cyklistami, jeżdżący na żelaznych koniach, niepotrzebujących siana i obroku. Nie wierzył i postanowił odtąd unikać dyabelskiej szosy, choćby mu przyszło drogi nadłoczyć...

Przypomina mi się historia z balonem p. Miłozza, którego także za złego ducha wzięli chłopci podczas katastrofy ostatniej w roku zeszłym.

Gdzie te czasy, kiedy według testamentu ś. p. Kickiego, (o którym dziwnie ucichło jakoś w ostatnich latach) dla ludu naszego będzie potrzeba zakładać teatru, resursy, galerie obrazów!... Przedtem należałoby go jeszcze oswoić z tylu innymi rzeczami, pojęciami, sprawami, o których dzisiaj ma takie wyobrażenie, jak o żelaznym wilku.

Spełnia obowiązek ludzkości, kto ciemnotę wytepia, przesady wykorzenia, uprzedzenia prostuje.

Trudne to zadanie, nawet w najbardziej cywilizowanych społeczeństwach.

Kiedy czytałem prerażające sprawozdania z ostatniej katastrofy Opery Komicznej w Paryżu, która spłonęła, jak stóg siana, setki ofiar zagrzebując w swych gruzach i zestawilem ten fakt z rozprawami w Izbie Francuzkiej przed dwoma tygodniami, w których, jakby proroczym duchem, jeden z posłów wywróżył niemal szczegółowo całe nieszczęście, powiedziałem sobie, że na tym najlepszym ze światów dzieją się jeszcze rzeczy tak złe, iż człowiek wątpić zaczyna, aby kiedykolwiek pozbyć się ich było można.

Musicie znać już cały przebieg katastrofy z telegramów, których dzienniki nasze nie szczędziły całami szpaltami. Od wielu lat wiedziano o niebezpieczeństwie, grożącym temu teatrowi bardziej, niż wszystkim innym, a jednak przy całej możności zaradzenia złemu—nic nie robiono.

— Spali się to kiedyś — powiadano z zimną krwią — bo spalić się musi, wszystkie teatru się palą prędzej, czy później.

Przyszła kolej na Operę Komiczną, jakby za karę, że igrano tak lekkomyślnie ze świadomem niebezpieczeństwem.

Czy to nie nauka i nie przestroga dla innych?... a jednak nie wielu z niej skorzysta... Gdy pierwsze przygnębiające wrażenie minie, ludzie oswoją się, zobojętnieją znowu, zapomną o groźnej sprawie, aż im nowe nieszczęście przypomni maksymę: „Strzeżcie się, a Bóg was strzedz będzie!“

Żebyż się to tylko w samych teatrach powtórzało!...

Wiosna tegoroczna nie szczędzi nam głębokich wstrząśnień, bolesnych, hołbowych wieści. Tak niedawno łązy nam wycisnęła z oczu śmierć Kraszewskiego; jeszcze brzmi mi w uszach echa pogrzebowych dzwonów, które płakały nad jego trumną; a oto nowym zabrzmiały w tym samym Krakowie nad zwłokami ś. p. Mikołaja Zybliewicza, byłego marszałka krajowego w Galicyi, jednego z bronzowych ludzi naszej epoki. Mąż to był z jednej sztuki, hartowny, wytrzymały, jak filar pod sklepieniem swojego kraju. Takich nam najwięcej potrzeba było, a coraz większy brak uczuwać się daje...

W jednym z najbliższych numerów *Bluszczu*, znajdziecie jego wizerunek i życiorys, więc mi tylko pozostaje zapisać ten zgon na liście niepowetowanych strat i ubytków, jakimi los pokrzywdza nasze społeczeństwo.

Cichszej nierównie zasługi, skromniejszego zakresu działania, ale godny pamięci człowiek po-

rzucił nas tu bliżej w Warszawie—jeden z tych niepozornych, małych, lecz potrzebnych i pożytecznych nad wyraz ludzi, co na filar nie starczą w społecznym gmachu, ale twarzą, rzadko wytrzymała cegiełkę jego tworzą. Zeszłego piątku umarł ś. p. Felix Gebethner, brat znanego księgarza i wydawcy p. Gustawa Gebethnera.

Od lat trzydziestu znanym był jako nauczyciel muzyki—to może niewiele dla szerszej popularności i uznania; jednak swój cichy, skromny, pracowity żywot umiał nieboszczyk ozdobić zasługami, które go wysunęły na widok publiczny wbrew jego woli i zamiarom.

Miał miłość dla sztuki gorącą, niezwykłą w tej sferze mieszczańskiej, praktycznej, z której wyszedł; wiecie, co robił?... zbierał obrazy za oszczędzone grosze, dnie całe biegając za lekcyjami z jednego końca miasta w drugi, pieszo, zimą i latem w pogodę czy w słotę. Przez lat dwadzieścia kilka odkładał, oszczędzał, odmawiając sobie wszystkiego: dorożki, wina kieliszka, cygara, a ile razy uciułał większą sumkę, pukał do pracowni polskich artystów i nabywał u nich mniejszy lub większy obraz, szkic, akwarellę do swojej galerii, w której znalazły się z czasem dzieła najcelniejszych malarzy współczesnych.

Myślicie, że zbierał tylko dla własnej fantazji i przyjemności?... nie, był krótkowidzem z urodzenia, musiał twarz do płótna przysuwać, aby po kawalku obejrzeć nabyte dzieło, ale kompletował swe zbiory dlatego, aby kiedyś utworzyć z nich publiczną galerię sztuki, którą chciał Warszawie zostawić po sobie w spuście. To była jego ambicja, jego myśl ukochana—z nią na ustach umarł, błogosławiąc rodzinie, tracącej najlepszego męża i ojca.

Towarzystwo Muzyczne zawdzięczało mu wiele, Towarzystwo Zachęty do Sztuk Pięknych liczyło go do najczynniejszych swych członków; on to głównie opiekował się sprawą wybudowania osobnego gmachu dla tej instytucji i zdołał własnymi zabiegami zebrać kilkadziesiąt tysięcy na ten cel, odkładając sobie czasu, siły i spoczynku.

Znano go dobrze w sferach artystycznych, uczynnym, był i chętnym zawsze, gdzie szło o sztukę, lub jej wybranych; żal pozostał po człowieku prawym, pracowitym, rzadkim w swoim rodzaju, który umiał być wśród prozy życia szlachetnym i pożytecznym idealistą.

Quis.

NA RUINACH.

POWIEŚĆ

przez

Zygmunta Sarneckiego.

(Dokończenie).

Pani Eleonora—czuwająca przy nim nieustannie, jak anioł opiekuńczy lub jak siostra miłosierdzia—w boleści swojej podobną była do pierwszych chrześcianek. Ukrywała udręczenie szarpające duszę, aby męża oszukać, obudzić w sercu jego nadzieję i przynieść mu ulgę chwilową. Cała poświęcała się na jego usługi, skinięcie każde odgadrywała. Już nie pragnęła ani go usprawiedliwić, ani bronić... tylko ocalić. Wyżej jednak stawiając potrzeby ducha nieśmiertelnego nad cierpienia umierającego ciała, błagała męża ze łzami, aby pozwolił przywołać kapłana. Generał długo się opierał... nareszcie uległ błaganiom.

Wezwano sługę ołtarzy.

Był nim, nie cudzoziemiec, lecz współziomek, blady asceta, męczennik. Znał on wybornie przeszłość penitenta.

Klara—niepojmując tajemnic chrześcijańskiego miłosierdzia—rozumiała, że spowiedź wobec ta-

kiego sędziego będzie strasznym epilogiem pełną grozy dramatu.

Kobiety obie, milczące, sprzecznymi uczuciami miotane, usunęły się do przyległego salonu.

Za księdzem zamknęły się drzwi sypialni.

Matka ukłękła i pograżyła się w modlitwie gorącej. To, o co prosiła Najłitoświjszego, nie miało już żadnego związku z broszurami... do pisania których skłaniała ją niegdyś próżność i duma. Przestała być dumną wśród cierpień niewymownych.

Klara stała w oknie i oparła o chłodną szybę zimniejsze od niej skronie. Niema, zdrętwiała, zgnębiona ogromem nieszczęścia, nie utraciła jednak władzy myślenia, a te myśli—czarne jak kir katafalku, kolące jak ciernie, napędzały chmury ciemne pod czaszkę, ranily mózg, walką wewnętrzną znużony, wyczerpany z siły i energii ciemnym boleśniejszym od tego wszystkiego, czego doznała po wyjeździe Antosia. Złamaną była, jak trzcina uschnięta, w dłoni swawolnego dziecka. Nie uskarżała się jednak, nie płakała... ani jedna łza nie toczyła się z oczu czarnych, błyszczących niegdyś dyabelstwem. Błędny ogień wesolego szyderstwa uciekł z nich, jakby nazawsze. Zagadka śmierci, którą rozwiązywała niegdyś egoizmem, dziś przedstawiała się jej nie do rozwiązania.

Każdy obraz zgonu, jaki w dzieciennych latach utkwiał w jej pamięci, zmartwychwstawał teraz w umyśle w całej grozie dawniej doznanych wrażeń. Żwierzątko w konwulsjach przez wyrodną opuszczone matkę, młynarz konający, trup samobójczy cygana, jak widma mgliste, otaczały postać ojca, którego widziała przed chwilą pającego się ze śmiercią. Tragedya, wprost do jej serca przemawiająca prawdą okrutną—tragiczniejszą się jej wydawała od wszystkich okropności, które sprawdziła własną obserwacją i jakie wyczytała w książkach. Zbolała, wzruszona do głębi, smutna, pytała się siebie: dlaczego ten, co całe życie nie rachował się z warunkami praw moralnych, teraz wobec tajemniczej niewiadomej, nie wyraża żalu za swem ja indywidualnem, ani nie pociesza się nadzieją nicości, lecz drży i lęka się tego, co go czeka za grobem. On, taki hardy, zgodził się czyzy swoje położyć na szali boskiej sprawiedliwości... a kto wie?... czy nie błaga teraz pokornie o boskie zmiłowanie!

Przypomniała sobie opisy i legendy o umierających wolnomyślicielach, tak, jak je współwyznawcy przekazali potomności w druku... bo każde szczere i długotrwałe przekonanie wytwarza legendę. Na tle tych podań—niemniej jak inne fanatycznych nieraz—wyobrażenia jej rysowała naprzód osmdziesięcioletniego staruszka, o białych włosach, w Genewie—w pełni władz umysłowych filozofującego z synem, aż do ostatniego technienia, chociaż wiedział i rozumiał, że przyroda nieublagana usuwa go z tego świata. Potem pod czołem jej—jak w latarni czarnoksiężkiej—drugi ukazał się obraz: znowu starzec—w Paryżu—umierający w pośród wierzącej rodziny. Głosem pewnym—już na progu wieczności—oświadczał otaczającym go przyjaciółom, że po tylu latach pozytywnych badań naukowych, wie, iż nic nie wie... niczemu nie przeczy, ale i twierdzenia stanowczego nie stawia... mniema jednak, że lepszym byłoby dla ludzkości—dla nas szczególnie—wierzyć i miłować, niż wątpić i kroczyć ku przyszłości ciemnej bez nadziei w drugie życie. Więc się cofał poniekąd... ale z jaką godnością! Tu zaś... umiera... Wzdrygnęła się przejęta zimnym dreszczem—ojciec jej, człowiek, którego kocha... który ją kochał...

Skrzypnięcie otwierających się drzwi przerwało jej zadumanie męczące... rodzaj tortury myślowej... sroższej od wszelkich męczarni fizycznych.

Kapłan wychodził z sypialni, wskazując ręką hrabinie i Klarze, aby pośpieszyły do generała...

Sam cicho przesunął się przez salę i zniknął w przedpokoju.

Widok, jaki żonie i córce hrabiego się przedstawił, wprawił je w niewymowne zdziwienie. Konający, po spowiedzi, zmienił się zupełnie. Twarz jego, przed godziną jeszcze konwulsyjnie

wykrzywiona, gładką się teraz stała, jak lica marmurowego posągu; błędne oczy, lekliwie błęgnące za kobietami, błagające je bolesnym wyrazem o wsparcie i ratunek, promieniały obecnie jasnością pogodną.

Ręce żony ucałował, głowę córki przycisnął do piersi i rzekł:

— Klaro, są rzeczy wyższe od moich i twoich wyobrażeń; w Bogu mam nadzieję, że w nie kiedyś uwierzysz, dziecko ukochane... Obowiązki wielkie ciążą na tobie... za siebie i za mnie... Matka... a może... przyszły twój mąż ci je wskaże... Jeśli kochasz Antosia... a mniemam, że go kochasz... ja wam błogosławię.

Dziewczę słuchało pograżone ciągle w czarnym smutku, niezdając sobie sprawy ze znaczenia słów ojca. Tylko wyraz „obowiązki“, obył się silniejszym dźwiękiem o jej uszy i obudził wspomnienie tego, co brat stryjeczny mawiał do niej niegdyś w Bereźnicy.

Generał, po chwilowym spoczynku, prosił, aby posłano po notariusza.

— Nie martwcie się... błagam; nie żałujcie mnie szeptał — teraz mi dobrze... Muszę się jednak śpieszyć, bo chwile moje doczesne policzone, a wiele... wiele rzeczy powinienem naprawić... Nie o spisanie zwykłego testamentu mi chodzi, lecz o zadośćuczynienie... o zmazanie choć części przestępstw, jakimi syn przeciw matce zawińił.

Gdy notaryusz (także rodak) nadszedł, dyktował mu długo, z widocznym pośpiechem, chociaż nieraz brakło tchu w płucach starca. Cierpiał bardzo, ale wolą poskramiał objawy cierpienia. W końcu podpisał swój dość pewną ręką na papierze położył, skinieniem głowy i uśmiechem dziękując temu, co nim pomógł zrzucić ciężar przyniatającego sumienia. Poczem oparł głowę o jedną z poduszek, którymi obłożono go w szerokim fotelu, przymknął powieki i zdawał się usypiać.

Córka i żona u stóp jego klęczały na posadzce.

Klara słuchała treści testamentu, jak senna. Pomimo wyczerpania sił fizycznych i moralnych, rozumiała, że to, co w nim zawarte, stanie się jej zadaniem w przyszłości.

— Obowiązki! — dumiała — śmierć mi wskazuje obowiązki!

Generał w śnie rozstał się z życiem.

Ani jedna, ani druga z kobiet nie miały dość mocy, aby powstać z klęczek.

Hrabina modliła się pocichu. Klara, milcząca, szklanymi oczami patrzyła przed siebie. Ona, co dawniej ubóstwiała życie dla życia, a żądę samobójstwa odpychała z dumą, wstrętem i pogardą—myślała teraz, walcząc po raz ostatni z narzucającym się jej umysłowi wynikiem, dziś już zachwianych, dawniejszych przekonaniach:

— Szczęście jest tylko pojęciem; często widocznie fałszywem. Życie nie stanowi szczęścia... Tak bardzo je kochałam, bo mniemałam, że zdołam je uczynić rozkosznym, a zdawało mi się, że doprowadzenie tego do skutku odemnie jedynie zależy... Obecnie widzę, że tem milsze im krótsze... Śmierć, bez wyrzutów sumienia nie musi być bólem... bo przecież ojciec zasnął tylko; ja zaś nie mam nic sobie do wyrzucenia... Ból ucieka przed zgonem, a kto wie, czy ten ostatni nie jest rodzajem przyjemności, jakiej się doznaje drzemiąc, zapadając w błogie marzenie... Samobójstwo nie byłoby usprawiedliwionem i racjonalnem, gdybym, usuwając się dobrowolnie z tego świata, wyrządziła przez to komu krzywdę, albo gdybym kogo zasmuciła... ale ojciec nie żyje... Antoś może nie kocha... matczka pocieszy się modlitwą... Więc mogłabym śmiało życie sobie odebrać!

Matka modliła się coraz goręcej, nietylko za duszę zmarłego... ale i za córkę, przeczuwała bowiem, co się w jej sercu dziać musi. Klara myślała dalej:

— Tak; ale obowiązki... Mam obowiązki. Ojciec, chociaż późno, testamentem uczynił im zadość... ja zaś, aby wolę jego ostatnią spełnić, poświęcić się muszę i żyć... Żyć trzeba... ach! co za męczarnia!

Zwiesiła głowę na piersi, z wyrazem rozpaczyny na bladej twarzyczce.

Wtedy generałowa — w pobożnej exaltacji — głośno wymawiać zaczęła pełne prostoty wyrazy Chrystusowej modlitwy: „Ojcze nasz...” i następne.

Klarcia mimowiednie powtarzała słowo po słowie.

Suche dotąd jej oczy załazy się łzami. Dusza dziewczęcia zbudziła się do życia nagle, pod wpływem nowych dla niej wrażeń.

Zwłoki generała wysłane zostały do Bereźnicy, dla uroczystego złożenia w grobach rodzinnych.

Na pogrzeb zjechali się sąsiedzi i krewni.

Przy katafalku korzyła się przed Bogiem pani Eleonora, z pobielającymi jak mleko włosami, w smutku swym jednak dziwnie jakaś pogodna i niemal szczęśliwa. Przy niej stał hrabia Stanisław, obok Klary Antoni...

Zaremba, jakby chcąc się pochwalić przed swoim rotmistrzem i jego synem, zgromadził liczne zastępy włosian, okalających świątynię. Chłopi błogosławili panią, która wnet po powrocie z stolicy spełniła jedno z testamentowych rozporządzeń ojca, dobro tutejszej gminy mające na celu.

Po żałobnych piniach—tak cudnych w rytuale katolickim—trumnę spuszczone do podziemnych sklepień świątyni.

Bystre konie, zaprzężone do sanek, pomknęły zprzód kościoła ślizgim, twardo ubitym torem do zamku, wśród śnieżnego krajobrazu, iskrzącego się w promieniach słonecznych tysiącem różnobarwnych światełek, rozrzucanych wokół przez kryształowy szronu wiszącego na konarach i gałęziach drzew.

Przed znanym nam portonem porfirowym wysiedli ostatni: Klara i Antoni.

Milcząc, wstępowali po stopniach, aż do pierwszego piętra.

Tu—zanim weszli do jednej ze starożytnych komnat, — młody człowiek zatrzymał się, ujął za rączkę bladą panią i szepnął:

— Klaro! czy chcesz być moją nazawsze?

— Weź mnie — rzekła — weź biedną sierotę... taką, jaką niegdyś mieć chciałeś... bo się zmieniałam, mój drogi.

Po raz pierwszy usta ich spotkały się w przeciągłym pocałunku.

Mówiono mi, że na ruinach pojęć Klarczy wzrósł piękny kwiat nowych wyobrażeń, pełen świeżej woni.

Koniec.

List z Rzymu.

Kto chce doznać wrażeń, które biją razem do serca i głowy—kto chce widzieć, co to jest radośna bujność życia narodu, w ten sposób młodego, że trumna, zaprzeczając słowom poety, wydała go światu żywych, jak koleczka—ten niech jedzie do Włoch! Jak się tu żyje! jak, tej wiosny zwłaszcza, ucztuje się tu z młodą nienasyconością uciech a przytem pomagnacku, wśród ruszonych z miejsc skarbów starych, na których osiadł pył długich lat niedoli, a które teraz, aby je zeń otrząsnąć, dziedzice ich szczęśliwi wynoszą na pokaz oczu ludzkich i blaskiem ich się cieszą—piją rozkosz ich świetności i upojają się tym cudownym napojem szczęścia! Tak tu jednak tego wiele: jubileuszów, wystaw, processyi ku czci wielkich ludzi, wielkich pamiątek, że wasz sprawa-

wozdawca, nie wie jak sobie radzić z tem bogactwem materiału. Żal opuścić cokolwiek, bo wszystko jest cenne i wiadomości ludzkiej warte, lecz z drugiej strony straszy obawa przeładowania treścią, bo to, przez nacisk wrażeń, pomniejsza je i odpowiedniej perspektywy w umyśle im nie daje.

Ale ratować się będą porządkiem i chronologią na pomoc przyzwę. Włochy wyprawiły sobie majówkę nielada, ale i Kwiecień ich miał swoje uroczystości i rzeczy, godne naszego zajęcia się niemi. Najpierw ucztą artystyczną Rzymian była opera Verdi'ego, *Otello*; powodzenie jej jest we Włoszech bajeczne, bo i utwór wspaniały, w którym poeta i geniusz muzyczny podali sobie ręce, aby stworzyć arcydzieło. Autorem libretta jest Kamil Boito, brat twórcy Fausta, przez matkę Polkę po połowie nasz rodak, autor dramatu *Neron Otello*, to tragedia grecka z jej czarownymi chórami i słuchacze wpadają w zachwyt. Wystawienie jej w Medyolanie, w teatrze *La Scala* kosztowało 600,000 lirów, które prawie zaraz, bo po 25 przedstawieniach wróciły się z czystym zyskiem 187,000 lirów. W Rzymie krzesło kosztowało 100, łoża 500 lirów; królowa nie opuściła ani jednego przedstawienia. Śpiewano operę w wielkim teatrze Constanzi, zawsze przetłoczonym; miało być przedstawień sześć, lecz dano ośm, za co impesario Canori spotkał się niemal z uwielbieniem Rzymian. I powiedziec tu, że Verdi, tworząc, miał rok 77-y!

Rzymskie dzienniki przypominają Michała Anioła, który u progu siódmego krzyżyka, bo w sześćdziesiątym szóstym roku, dał światu *Sąd Ostateczny*, a mając lat siedemdziesiąt malował inne freski w kaplicy watykańskiej. Zapędzają się tu tak daleko, że dowodzą, jakoby pełnia twórczości przypadła u wielkich mistrzów na rok 70 życia.

Dnia 25 Kwietnia odbywały się tu dwa ochody pamiątkowe: jednym była rocznica śmierci Torkwata Tasso, drugim urodzin Rzymu: „Il natale di Roma.” Sama ta forma językowa pokazuje już, że dla Włochów Rzym, to nie miasto tylko, ale jakaś istota żywa, istota mityczna, zabobnie im droga, której Italia wyrzec się nie chce na rachunek żadnej, choćby najwyższej idei i nie odstąpi jej nikomu. *Roma Intangibile!*... Roma Nienaruszalna! jak to orzekł król Humbert, musi być stolicą włoskiej ojczyzny, jeżeli Włochy istnieć mają. Zrozumiano to już i w Watykanie. Leon XIII skłania się widocznie do zgody i oto kardynał Schiaffino w d. 1-go Maja, w którym udzielał sakramentu bierzmowania uczniom szkół rzymskich, wznosił na uczcie w kolegium jezuickim, w Mandrogone toast za życie Włoch. Za taki sam toast: „Viva l'Italia!” młody rzymski hrabia, Guido di Carpegna został wygnany z Rzymu w 1864 r., wraz z kilku synami szlacheckich rodzin rzymskich; lecz objawiają się tu wciąż znaki czasu, który sprowadzi wielki patryotyczny akt zgody Kościoła z odrodzoną ojczyzną włoską.

Rzym żyje 2640 lat, według Warrona, według Katona 2638. Na pamiątkę tegorocznego obchodu jego urodzin wzniesiono na placu *Trinita dei Monti* kolumnę, poświęconą pamięci Galileusza. Że ten nieśmiertelny ma ją w Rzymie—to także znak czasu...

Druga pamiątkowa uroczystość dnia tego odbyła się daleko skromniej. Zmęczony, znękany, piewca *Jerozolimy Wyzwolonej* zakończył życie w klasztorze św. Onufrego, który istnieje dotychczas i wspólnie z kościołem swoim wznosi się na starożytnej pamięci wzgórzu Janiculum, z kądem odślania się uroczy widok na Rzym z jednej strony, z drugiej na jego okolice—grunt klasyczny, którego każda stąpa wiąże się z jakąś pamiątką ludzi i wieków. Porankiem 25 Kwietnia nieliczne grono czcicieli wielkiego poety dostało się tu po kamienistej, spadzistej drożynie, aby złożyć na pomniku Tassa wieniec warzynu, który dla niego powinien zielenić się nieśmiertelnie. Dwa ich dostał w tym dniu cień jego smętny: jeden złożyła kobieta; poetka, Klelia Bertini Atilli, drugi bibliotekarz księgozbioru *Angelica* uczony badacz Odrodzenia i humanizmu włoskiego, Hektor Novelli. Cęła, w której umarł

poeta, jest dziś w stanie ruiny. Dach wygina się ponad nią i zaważeniem grozi, deszcz zaciekła i niszczy sufit, lada dzień pamiątkowe te ściany runą. Professor Gennerelli, historyk, przemówił też wśród tej pustki smutnej z upomnieniem się u municypalności rzymskiej o opiekę nad narodową pamiątką. Włochy czczą należycie swoich wielkich mężów: Dante, Rafael, mają muzea swoje i Generelli zażądał od przytomnych, aby dali początek aktowi podobnego holdu narodowej pamięci dla Tassa, przyczem złożył, jako pierwsze dary dla proponowanego muzeum: wizerunek poety, wykonany rylcem sławnego rytownika włoskiego, już współczesnego, bo żyjącego w naszym wieku, Mercurego; dalej exemplarz pierwszego włoskiego wydania *Jerozolimy Wyzwolonej*, i rzadkie, a bardzo piękne wydanie *Aminty*.

Korrespondent włoski *Gazety Warszawskiej* odezwał się z tej okazji do nas, że godziłoby się nam nadesłać do tego tworzącego się muzeum, „parę pięknie oprawnych exemplarzy” przekładu *Jerozolimy Wyzwolonej*, dokonanego przez Piotra Kochanowskiego. Piotr Kochanowski był nie tylko tłumaczem, ale i przyjacielem włoskiego poety, który z tego powodu pragnął przenieść się do nas i na naszej ziemi nieszczęśliwego żywota dokończyć. Wspomniany korespondent żąda od nas tego daru we własnym naszym interesie: i pisze: „Żaden inny naród w Europie nie szczyli się tak, jak my, współczesnym i tak doskonałym, klasycznym przekładem wiekopomnego poematu.” Dać o nim wiedzieć Włochom i Europie, to znaczy dać im wiedzieć o dawnym, ścisłym związku naszym z Włochami, co byłoby zarazem „publicznym, europejskim świadectwem starodawności literatury polskiej”.

Wpływ włoskiego humanizmu na nas, oddziaływanie jego na kierunki umysłowości naszej—to też przedmiot do opracowania dla jakiego szlachetnego pióra. Przekład na język włoski lub francuzki tej książki nie byłby wcale trudnym, przy znacznej liczbie ziomków naszych poza krajem mieszkających. Trzeba o sobie znak życia dawać, trzeba żywotności swej świadectwa na forum europejskiego świata przynosić, aby z liczby żyjących wykreślonymi nie zostać. Stara przyjaźń łączyła nas z Włochami; ponowienie tego związku przez wywołanie na jaw dzisiejszej pamięci ludzkiej tych duchów, które sobie w przeszłości bratniami były, nie pozostałoby dla nas bez znaczenia i korzyści. Drzewo samotne wiatr wyrzywa, ludzie i narody potrzebują jednakowo sojuszków, a mogą być one poza sprawami państwa, poza wszelką polityką zawierane i wtedy właśnie są najprawdziwsze i najszczerze, najwięcej pożytku wzajemnie przynoszą.

W gronie tych, którzy cieniem Torkwata Tassa składali hold czci i pamięci, znajdowała się oprócz Klelii Atilli, kobieta jedna jeszcze: księżna Bevilacqua, pochodząca z rodu, związanego niegdyś przyjaźnią z wieszczem nieszczęśliwym. Aby się spadkobierczynią takich rodzinnych zobowiązań czynić, aby tytułem spuścizny przedłużyć sobie duchowe związki przeszłości, trzeba być istotą podniosłego uczucia i owa księżna włoska jest nią niewątpliwie.

Wieczorem d. 29 Kwietnia, oboje królestwo z synem, mając przy sobie dwóch ministrów: Crispi'ego, spraw wewnętrznych i Brin'a—marynarki, wyjechali do Wenecyi, na odświeżenie posagu Wiktora Emmanuela i inaguracją tamtejszej wystawy sztuk pięknych. I wasz powolny sługa, choć nie w królewskim orszaku, pośpieszył tam także: widział, słyszał, wzruszał się i teraz przesyła wam słabe odbicie obrazów, które najpierw starożytne miasto Dożów, a potem Florencyja roztoczyła przed jego oczyma. Nic wspanialszego nad wprowadzanie królewskiej pary i młodego Księcia Neapolu na laguny weneckie. D. 1 Maja municypalność wysłała naprzeciw królestwa ośm starożytnych statków, zwanych „bissone” bogato strojnych, z załogami w starodawnych ubiorach Rzeczypospolitej S-go Mar-

ka; cała zaś arystokacja starych rodów wystąpiła w historycznych swych gondolach, rzeźbionych i wyzłacanych, z pawilonami i ogonami z axamitów, złotogłowiu, z najpyszniejszych tkanin jedwabnych, z sztytami na nich herbami, a które wlokły się od tych gondol, według zwyczaju uroczystych takich obrzędów, zamiatając morze, jak proste płótno żaglowe. Gondole dozwolonych rodzin Morosinich, Mocenigów, miały te powłoki z błękitnego aksamitu, gondola grecko-weneckiej rodziny hr. Papadopolicz, z purpurowego axamitu i złotogłowiu. Świeżo zubożone domy bankierskie przesadzały się w zakasowaniu starych i gondolach, aicydziela kunsztowności, były okute złotem i srebrem. Płynęło to wszystko przez Canal Grande za gondolą królewską, starą gondolą dożów, otoczoną przez bisony, jako siłę zbrojną tej floty bajecznie wspaniałej.

A jak pysznie były przystrojone fronty, okna, balkony marmurowych pałaców przy Canal Grande! Jaka ciżba ludu na wybrzeżach! Na placu S-go Marka, gdzie królewska para wysiadła do starego pałacu dożów, a dziś królewskiego, powiewały chorągwie, które niegdyś zdobiły maszty dożowskiej nawy „Bucentaura“.

Cała ta uroczystość była jakgdyby pysznie malowana złotem, purpurą, lazurem karta historii.

Nazajutrz, to jest dnia drugiego Maja, został odsłonięty konny posąg Wiktora Emmanuela na *Riva degli Schiavoni*, czyli *Wybrzeżu Słowackim*, dzieło Hektora Ferrari. W czasie uroczystości brzmiał wspaniały marsz, utworzony na tę chwilę przez Reginalda Grazzini. Wykonywało go 80 artystów, samych Włochów, bo w czasie całej tej pompy pilnowano zazdrośnie, aby się tu nie wkrađło nic obcego, pochodzącego od obcych. Posąg *Króla Wybaniciela* wspaniale się prezentuje, zapal przy odsłonięciu był też ogromny, szalony, zwłaszcza wśród ludu: krzyczano, płakano, wyciągano ręce. Kobiety padały na kolana i podnosiły w górę dzieci, wołając: Re Liberatore!... Re Liberatore!... Inny marsz, także włoskiego maestra, Hugona Errary, grano, gdy królewska para ruszyła w pochód dalszy dla otwarcia wystawy sztuk pięknych, co odbyło się na wysepce, gdzie istnieje ogród, założony niegdyś z rozkazu Napoleona I-go. I tu wszystko odbyło się wspaniale, uroczystość. Wystawa liczy 1,142 dzieł pędzla i 170 rzeźb—dobieranych starannie przez komitet wystawowy, aby nie dopuszczać mierności. Crispi, jako minister spraw wewnętrznych, przemawiał, a mowa jego była szlachetną w myślach i wielce wspaniałą przez poważne jej wygłoszenie. Minister włoski wyrażał w niej, nie zachwyty nad sztuką, ale wysokie wielce pożytki dla narodów. Sztuka—mówił służy—ludom zwięczkim, jako wyraz zapалу, uniesienia, tryumfu, jest wyniosłą, może być dumną, bo jej zadaniem jest, aby nie pozwoliła na obniżenie się ideału narodowego, na zejście do niskiego poziomu materialnego tylko używania i pragnień dobrobytu. Ale dlatego właśnie, że uskrzydla duchy i dźwiga je ku górze, że wzrusza serca, potrzebniejsza jest jeszcze ludom nieszczęśliwym. Przez nią wtedy wylewa się żal i boleść serc ścięzionych, ona daje formę aspiracyom nadziei, aktom wiary i miłości... Umacnia serca, broni je od rozpacz—nie daje zapomnieć tego, co w pamięci tkwić powinno. „Jeżeli Wenecyanie odegrali w dziejowym dramacie z 1869 r., nieśmiertelnie heroiczną rolę, zawiązującą to głównie temu, że wzrastali wśród dzieł ojczyznej sztuki, która była ich mistrzynią, tablicami nauki dla patryotycznego ich uczucia. Italia bez sztuki, bez literatury—poezji, muzyki, byłaby niepełną, niedoskonałą, bo i dziś lud włoski powinien dokonywać czynów, które sztuka wieńczy i uwiecznia.“

Był to pyszny programmat *majówki* włoskiej te uroczystości weneckiej! Dalszy ciąg przeniesiony został do Florencji, do miasta kwiatów. Przyjmowanie choćby tylko popiołów sławnych swych synów jest dla rodzinnej ich ziemi aktem macierzyńskiej radości. Rozbiegli się w dniach niedoli, i teraz wracają, aby im dała choć już groby tylko czczone przez miłość bratnią. Dnia 3 Maja przybyła na dworzec florencki trumna Rossiniego, na której przyjęcie wyszły wszystkie towarzysztwa kwiatów i starożytne bractwa miasta, de-

putacje wszystkich muzycznych konserwatoryów włoskich. Marchetti, Bassini, obecnie największe znakomitości muzyczne Włoch, znajdowali się w tych szeregach, przyjmujących szczątki śmiertelne *labeledzia z Pesaro* i brakowało tylko Verdiego. Zaproszony, aby przewodniczył uroczystości, odmówił przyjazdu, wymawiając się tem, że chory, że zmęczony. Podobnie odmówił prośbom, aby przybył do Rzymu na pierwsze przedstawienie tam jego opery, ale tu było co innego i mistrz obrazil uczucie włoskiego ludu. Zastąpił go syn dyk miasta, margrabia Torrigiano, lecz zastępowstwo to nie odpowiadało temu, co chciano mieć.

Trumna była wieszona do kościoła Santa-Croce na wspaniałym rydwanie; grały jej cztery połączone kapele symfonią z *Obleżenia Koryntu*. Gdy zbliżała się do kościoła, który jest panteonem wielkich mężów włoskich i gdzie są pomniki Dantego, Galileusza, Michała Anioła, Ameryga Vespucci i innych, powitał ją chór pięciuset śpiewaków wielkim chórem z *Mojżesza* „Del tuo stella to soglio“ (z twego gwiazdzistego tronu), a gdy owe rozmaite stowarzyszenia i kompanie szycowały się z chorągwiemi swemi na placu, zajmując, w miarę przybywania, miejsca przeznaczone sobie, orszak żałobny wstępował na wschody świątyni i na kościelnym ganku nastąpiło urzędowe przyjęcie trumny i zawartych w niej szczątków wielkiego muzyka.

Całe dwa dni następne były poświęcone pamięci Rossiniego. Jego *Stabat Mater* odśpiewał d. 5 Maja w pałacu Vecchio, w ogromnej sali *dei Cinquecento* chór najpierwszych śpiewaków i śpiewaczek włoskich. Nazajutrz odbyło się w *Circolo Filologico* zgromadzenie uroczyste, uczczeniu jego dzieł, jego pamiątkom poświęcone: „Academia litteraria e musicale“. Brał w niem udział przyjaciel i czciciel Rossini'ego, sam również kompozytor ks. Karol Poniowski.

(Dokończenie nastąpi).

DRAMATA KONKURSOWE.

II.

II. *Agrypina* (Neron), dramat historyczny, w 5-ciu aktach z prologiem przez *Józefa Lebuńskiego*; III. *Domna Rozanda*, dramat historyczny w pięciu aktach przez *Zenobiusza Drakuli* (pseudonym); IV. *Albert*, wójt krakowski, tragedia w 10 obrazach wierszem *Stanisława Kozłowskiego*, uwieńczona pierwszą nagrodą (wydana nakładem funduszu konkursowego wraz z *Życiorysem Wojciecha Bogusławskiego*, przez *Władysława Bogusławskiego*; Warszawa, 1887).

(Dalszy ciąg).

O samym Albercie wiemy niezmiernie mało. Pieśń łacińska, z textem ustalonym ostatecznie przez Mosbacha, jest może jedynym źródłem dającym się zużytkować przy odtwarzaniu psychologicznym słynnego wójta; ale jakże to źródło ubogie i mętne! Ani w kronikach, których wiedza wyraża się ostatecznie w Długoszu, ani w rocznikach i krótkich zapiskach, ani w dyplomatarjuszach niema nic takiego, coby pozwoliło historykowi lub poecie odmalować żywy charakter. Naruszewicz, który bardzo skrzętnie przeglądał źródła drukowane niemieckie, zaledwie zdołał wycisnąć z nich mgławce rysy samego wypadku. Szacowne wydawnictwo Akademii *Monumenta mediae aevi* nie prawie nowego, prócz kilku dat czasu, do postaci Alberta i jego buntu nie dało. W wydawnictwach szlaskich albo nic niema, albo jeśli co jest, to leży odłogiem. W obecnym stanie poprzez dokumenta urzędowe dzieje powstania bardzo słabo prześwitują, a winy Alberta, choćby tylko jako zwykłego uczestnika, wcale się w nich nawet doczytać nie można. Dokument królewski z r. 1336 podaje historykowi inne zupełnie nazwisko głównego sprawcy: nazwisko Hermana z Raciborza. Może nam co powiedzą księgi konsularne, może następny Albert i jego towarzyszy—może sam Łokietek; nic, nigdzie ani słowa. D. 21 Grudnia 1311 r. kiedy bunt wrzał

w mieście, stojący wówczas z wojskiem w Dobczycach pan dzielnic polskich od morza do Karpat, nazywa zdrajcami kilku rajców nawet współwójta, Henryka, brata Alberta—o nim samym milczy. Historycy dotychczasowi, obwinając Alberta, opierają się na rocznikach kapituły krakowskiej w tomie II-m *Monumentów* Bielewskiego i na owej pieśni łacińskiej, zdaje się że współczesnej. Dotychczasowe dowody są tak wątłe, że jeden z poważniejszych badaczy¹⁾ nie wahał się postawić pytania: czy rzeczywiście Albert zasłużył na surowy wyrok historii? Szujski w cennej rozprawie swojej o początkach Krakowa²⁾ nie mówi czego nie wie; a że mało wie, mało też i mówi, tak o samym Albercie, jak i o całym buncie. Główną jego dążnością, jako poważnego historyka, było stwierdzenie wątpliwości.

Zkąd p. Bobrzyński wziął to wszystko, co tak gładko czytelnikom swoim, a nie bacząc na groźbę Ewangelii, szczególnie młodszym, rozprowadzić umie? Że nie wziął ze świadectw historycznych—o tem on sam wie najlepiej. Dla p. Bobrzyńskiego tedy jest ów Albert człowiekiem wielkich zdolności i energii, a niepohamowanej ambicji. Pieśń łacińska raczej wydrwiwa niż potępia wójta; p. Bobrzyński robi z niego bohatera, o wysokim czole, potężnym karku, szerokich ramionach, silnie depczącego ziemię—i rzucającego cień na całą Polskę. A gdy tak historyk stawia nam przed oczy, ni mniej ni więcej, tylko wielkiego człowieka historycznego—poeta ma już prawo wydać go jeszcze i porożyciwać i wypełnić gorącym duchem najdoskonalszego patryotyzmu niemieckiego w stylu dzisiejszych Puttkamerów, Tiedemanów, Minnigerodów i innych oprawców pruskich w sejmach i poza sejmami. Pan Bobrzyński uważa za fakt jaknajprawdziwszy pod słońcem, że Albert wszczął bunt i że wszczynając go, chciał oderwać, już nietylko sam Kraków, ale i całą Małopolskę do Niemiec; stwierdziwszy przeciw ten fakt—dalej się już nie posuwa. Chwalebna powściągliwość! Rzecz prosta: człowiek z tak ogromną myślą, jak Albert p. Bobrzyńskiego, małym być nie mógł; ale czy historyk, który nam w takiego Alberta wierzyć każe, niema większego prawa do nazwy romansopisarza niż historyka? A co robi pan Bobrzyński, gdy przeciwko jego domniemaniu, podawanemu za fakt, postawi kto domniemanie szczere, niewstydzające się swego charakteru, iż Albert więcej dbał o dochody z kramów, z jatek rzeźniczych i piekarskich, z pól i łąk oddanych mu do zupełnego lub częściowego użytkowania przez Łokietka, niż o ojczyznę niemiecką i pomnożenie jej zaborom Krakowa i całej Małopolski? Domniemanie takie ma za sobą same świadectwa historii i zdrowego rozsądku; z domniemaniem zaś p. Bobrzyńskiego walczy i historia i zdrowy rozsądek. Marzenie wójta krakowskiego musiałoby odbić się w historii Niemiec; musiałoby poszukać sobie szerszych podstaw w samej Polsce; musiałoby przynajmniej postarać się o jaką taką pomoc o trochę żołdactwa, choćby tylko takiego, jakie mógł przyprowadzić ze sobą Bolesław; inaczej Albert byłby dzieckiem, a jego bunt dziecinną zabawką. Związek z Sandomierzem jest hipotezą nieprawdopodobną: ten tylko, kto historią za włosy ciągnie, może go wysnuć z aktu wiślickiego z dnia 31 Października 1311 r., a powstanie Bożogrobców miechowskich, gdyby nawet wątpliwości nie ulegało, nie dałoby się ująć w karby jedności chronologicznej. Mając do wyboru dwa domysły, lepiej było wybrać ten, który Bolesława Opolskiego przedstawiał jako pretendenta, wciskającego się gwałtem na tron łokietkowy, niż ten, który wójta Krakowa obdarzał rolą wielkiego patryoty niemieckiego, marzącego—o porwaniu się z motyką na słońce. Albert mógł być patryotą lokalnym, rodzajowym i w tym charakterze, co najwyżej, nadawał się na współnika Bolesława. Pan Kozłowski, zawierzywszy p. Bobrzyńskiemu,

1) *Świeżowski Ernest*: Wojciech, wójt krakowski i osadnicy jego czasów (Kłosy, 1877, II, T. XXV).

2) Kraków aż do początków XV wieku I wyd. przy *Libri antiqui. Civ. Crac. w Tom I Mon. m. aevi*; drugi, poprawny w *Opowiadaniach i Roztrząsaniach* (Warszawa 1882 r.).

zrobił z niego, nietylko wielkiego bohatera ojczyzny niemieckiej, potężnego cyklopa, kującego przyszłość dla milionów, ale ojca i obywatela, w obec którego gaśnie starożytny Brutus. Całe tylko szczęście, że ten Albert-Brutus wskutek zbytniego wyolbrzymienia jest pustym i wydaje z siebie dźwięk blaszany.

Poważne dziejopisarstwo może tylko następujące fakta uważać za pewne: W końcu XIII w. i przez pierwsze jedenaście lat XIV wieku wójttem dziedzicznym Krakowa na mocy praw wpływających z przywilejów Bolesława Wstydiwego i Leszka Czarnego, był od r. 1306 napewno wspólny z bratem swoim, Henrykiem niejaki Albert, Niemiec osiadły w Krakowie. Jako instytucja prawa publicznego, dożywotnie wójtostwo zasadzało się na najwyższym nadzorze i sterze spraw municypalności krakowskiej, od r. 1257 na prawie magdeburskim zostającej. Obok wójta dożywotniego było dwóch lub więcej wójtów wybieralnych, którzy bezpośrednio rząd i sąd sprawowali; za wójtami stali radcowie (*consules*), a za tymi jeszcze ławnicy (*scabini*).

Wójt dożywotni, będąc pierwszym urzędnikiem, był zarazem i pierwszym magnatem miejskim. Przywileje nadawcze miasta Krakowa, zapewniają wójtom dożywotnim osobiście i prywatnie, stałe lub doczesne dochody z pewnych wyraźnie wskazanych źródeł, wyposażają ich w pewne wyjątkowe prawa i korzyści, po jakie sięgać nie mógł pospolity mieszczanin. Była to zapłata z góry i zachęta na przyszłość. Wójt przyjmował na siebie obowiązek zaludnienia osady, a panujący chętnie obowiązek ten zespałał z własnym interesem obdarowanego. Jedynym celem nadań po strasznych najazdach tatarskich 1240—1260 r., było podniesienie rzemiosł i handlu i wytworzenie ognisk ruchu ekonomicznego. Prawo magdeburskie, brane z Wrocławia lub Szrody, miało już gotowy schemat porządku miejskiego: to prawo zatem razem z ludźmi wchodziło do Polski.

Podczas walk Łokietka ze Szluzakami i Czechami mieszczanie krakowscy okazali mu raz niewierność, ale ją potem zmazali czynną pomocą. Kiedy bohaterski tułacz, opanowawszy Pełczyńska, podstąpił pod Kraków, wójtowie dożywotni zasłużyli się dobrze jego sprawie. W nagrodę za to, dziedzic i pan księstw ówczesną Polskę składających w lecie r. 1306 odnowił miastu i wójtom przywileje Bolesława i Leszka,—odnowił i wyzłocił, bo w ustępstwach zaszedł dalej od swoich poprzedników: na całe lat dwanaście uwolnił mieszczan od wszelkich podatków i opłat publicznych, otworzył im do handlu wszystkie księstwa, utrzymał nadal miennicę; obowiązek służby wojennej zamknął w ścisłym obrębie księstwa krakowskiego; *forum* miejskie magdeburskie przepisał dla wszystkich wypadków, tak cywilnych, jak karnych, zaszłych na terytorium miasta i podmieścia, lub dotyczących jego obywateli. Ten ostatni przywilej był może najważniejszym ale i najdrażliwszym ze wszystkich i prawdopodobnie z niego mógł wywiązać się spór, a ze sporu bunt. Całość łask uzupełniało dobrowolne zrzeczenie się wszelkiego budowania pomiędzy zamkiem wawelskim a murami miasta. Książę chciał miasto utuczyć, bo wiedział, że jemu samemu dobrze z tem będzie. W bardzo krótkim czasie po pierwotnym nadaniu ukazało się drugie, przyznające grodowi stołecznemu monopol składu dla wszystkich towarów idących z południa, połączony z monopolistycznym prawem zakupu. Monopol ten Kraków posiadał jeszcze w sto lat później. Wszystkie te przecież nadania nie miały w istocie swej bynajmniej doniosłości praw politycznych; były tylko czynnikami prawodawczymi autonomii w tym obszernym zakresie, w jakim Średniowieczność potrzebę jej odczuwała i zaspakajała. W owym akcie nadawczym z r. 1306. Łokietek warował dla siebie prawo najwyższego sądu w sprawach wytaczanych przeciwko samym wójtom przez ludzi poza municypalnością krakowską stojących, a zarówno ta jurysdykcja, jak obowiązek placenia cel, oraz wnoszenia podatków do skarbu książęcego po latach dwunastu i wreszcie powinność wojskowa—przypominać musiały mieszczanom krakowskim, iż z całością ówczesnej Polski łączą ich

nierozzerwalne węzły jedności państwowej. Nie trzeba sobie przytem wyobrażać, aby Kraków ówczesny, wskutek zakazu Bolesława w akcie z r. 1257 był za Łokietka całkiem już pozbawiony żywiołu polskiego. Nie mamy statystyki z owych czasów; summaryuszne jednak aktów do browolnych i processów, przynoszą nam nazwiska i nazwy polskie, a przy odtwarzaniu obrazu ówczesnego Krakowa, logika nasuwa nieuchronną konieczność, na jaką skazywało przybyśzów samo otoczenie rdzennie polskie. Możemy zatem postawić domniemanie, że dwie narodowości żyły obok siebie w jednej wspólnej formie publicznego porządku. Niemcy tworzyli patrycyat, dzierżyli władzę, wypromieniali z siebie życie municypalne i reprezentacją nazewną; Polacy stanowili *demos* miejski, więcej bierny, niż czynny, ale będący istotnym żywiołem cywilizacyjnym. Górą szedł prąd niemieczyny, spodem płynął spokojnie potok ludności rodzimej. Oddziaływanie musiało być wzajemnem; a to samo, że patrycyat niemiecki w mieście dążył do posiadania majątków ziemskich, służyć powinno za wskazówkę, iż odgraniczanie się społeczne nie było bezwzględne i niemieckość owych Niemców zwolna pozbywała się swej pierwotnej surowości.

Szujski świadczy, że aż do r. 1311 niema śladu zatargów Krakowa i jego wójtów z Łokietkiem. W tym jeszcze roku Albert staje w orszaku książęcym, jako świadek przy akcie uprzejmości monarszej dla Nowego Sącza. Nawet uwięzienie biskupa krakowskiego Muskaty, nieulegające wątpliwości, ale mylnie przenieszone na lata po buncie, nie zdołało wytrącić Krakowian z równowagi obowiązku. Po ostatecznym utrwaleniu swej władzy Łokietek na równi z Krakowem i obu wójtami krakowskimi, obdarzył biskupa sporemi nadaniami, aby go dla siebie przywiązać. O co im poszło w r. 1310—lub może jeszcze w 1309—na to nie mamy pewnych dowodów; ale sprawa musiała być bardzo ciężką, jeśli nie w istocie swojej to w poszlakach, skoro mąż tak doświadczony, rozsądny, a roztropny, jakim był Łokietek, nie cofnął się nawet przed uwięzieniem osoby poświęconej. Bardzo być może, iż zawziętość biskupa po odzyskaniu wolności przyczyniła się do rozdmuchania pożaru buntu, z innych jakichś przyczyn wybuchłego. Obecność wszakże Muskaty w Krakowie podczas samego buntu nie znajduje potwierdzenia w dowodach historycznych, a długoletnie trzymanie przed Łokietka w Kunowie, czy też gdzieindziej, sprzeciwia się świadectwu akt katedralnych i dyplomatów małopolskich. W każdym razie stosunek biskupa do pana i dziedzica ziem polskich wkrótce po buncie był już prawidłowym. Biskup zasiadał w radzie książęcej; Łokietek w aktach urzędowych okazuje mu pewną tkiwość; jeszcze na kilka tygodni przed śmiercią ma go przy swym boku. Muskata, którego p. Kozłowski bez ceremonii udusił już w r. 1312, żył po tem uduszeniu jeszcze lat ośm i umarł dopiero d. 7 Lutego 1320 r.

Bez ceremonii również, nawet z wielką odwagą natchnienia i niewiadomości, ukształtował sobie autor dramatu nieodpowiedzialność biskupa. Shakespeare schowałby się w myślą jamę, gdyby mu dano sposobność poznania tych scen, w których p. Kozłowski pozwolił swej fantazyi pohałać z dostojnikiem Kościoła. Kto chce swej fantazyi pozwalać na takie harce, ten musi mieć wprzód głębokie przekonanie o prawdzie rzeczywistości. Takiego przekonania p. Kozłowski mieć nie mógł: dał więc tylko upust wolnomyślności swojej—a nie byłby przecież wolnomyślnym, gdyby, znalazłszy przed sobą księdza, nie starał się go odmalować, jak dyabła. Nie opatrzył się, że chcąc teżyzną umysłową olśnić, potrzeba przedewszystkiem strzedz się naiwności: a całe malowidło Muskaty w dramacie p. Kozłowskiego jest tak dziecinnie naiwnem, że tylko ogólnem porwaniem się nad siły wytłómaczyć je sobie można.

Wydawszy straszliwie Alberta i Muskate, p. Kozłowski znowu Opolczyka splaszczyl zupełnie i stracił pod poziom historii: nie dał mu żadnej indywidualności, nie zrobił go ani condottierem, ani pretendentem, nie wiedział wogóle, co z nim zrobić, chociaż go sam był wyszukał w historii

i sam sprowadził do poezyi. Zamiast obdarzać Alberta śmiesznymi i wręcz nieprawdopodobnymi marzeniami o tronie, o purpurze, lepiej byłby zrobił, gdyby w marzenia te wyposażył był awanturnika, który, raz już potłuczony przez Łokietka i trzymany w więzieniu, prócz złudzeń na przyszłość mógł mieć i zemstę za przeszłość. Nędzniejszej roli nad tego Bolesława p. Kozłowskiego trudno sobie wyobrazić. Autor nie skorzystał wcale ze świadectwa *Najdawniejszych ksiąg*, z wszechstronnego podania o uprowadzeniu Alberta przez Opolczyka, z wyboru nowych radców w d. Maja 5 1312 r.—z niego, coby poeta ze zmysłem historycznym przedewszystkiem był zużytkował dla danej postaci. Najważniejszy moment roli znalazł się ledwo w opowiadaniu podrzędne go Bernarda—a nadmiar sztuki i prawdy Łokietek nazywa Bolesława „chłystkiem“, jego, którego już na dwadzieścia lat przedtem potrzebował więzić.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności wychowuje, jak wiadomo, pewną liczbę sierot, chłopców i dziewcząt. Następnie chłopców rozmieszcza dla nauki rzemiosł u majstrów, na tak zwany termin, dziewczęta oddaje do służby. Nad chłopcami rozciąga towarzystwo i wtedy jeszcze opiekę, której nie miały już dziewczęta, gdy raz opuściły dobroczynny przytułek. Otóż obecnie zawiązał się w łonie towarzystwa szczęśliwie pomysły komitet podobnej opieki nad byłymi wychowankami towarzystwa, pozostającymi w służbie, a w skład jego weszły panie: Boenischowa, Amanda, Kowalska Elżbieta, Maliszewska Helena, Półkotycka Józefa.

Towarzystwo zamierza liczbę tych pań opiekunek zwiększyć i nasuwa się tu myśl: czyby towarzystwo nie zechciało dobroczynnej tej działalności jeszcze rozszerzyć? W Berlinie kobiece stowarzyszenie: *Towarzystwo gospodyń* urządziło sobie szkołę sług na warunkach najprostszych oddawania młodych dziewcząt na naukę do pań, tak gospodarnych, że przyrządzanie pożywienia rodziny, zakup materiałów spożywczych i inne prace domowe wykonywają się pod ich osobistym kierunkiem. Za niektóre dziewczęta, potrzebujące krótszego czasu nauki, towarzystwo płaci; niektóre oddawane są na czas nauki dłuższej bezpłatnie i wtedy praca ich, zużytkowana przez panią domu, stanowi wynagrodzenie, a towarzystwo ubiera tylko wychowankę swoją. Bywają domy, w których jest kilka dziewcząt na płatną naukę wziętych, i wtedy stanowi to dla gospodarnej pani domu dochód pewien, w innych dziewczęta na naukę brane zastępują całkowicie służbę płatną i wtedy trud nauki wynagradza się przez oszczędzenie wydatku na służki. Opiekę nad wszystkimi temi dziewczętami wykonywają panie stowarzyszone, i po skończonym czasie nauki oddają je do służby w mieście, kształcąc, dalej w ten sam sposób inne kucharki i pokojówki.

A czyny to są wysokiej dobroczynności, bo gdy młoda i niedostatecznie do obowiązków swoich uzdolniona dziewczyna dostanie się do pani, która wymagająca jest, a miłosierna i wyrozumiała być nie umie, wytwarzają się smutne zataрги, wśród których biedna dziewczyna cierpi i do stanu swego się zniechęca. Zmieniając ustawicznie służbę, staje się pewnego rodzaju cyganką, zatruwa sobie serce nienawiścią dla klas wyższych i tylko bardzo silny charakter lub spotkanie na drodze swojej jakiejś dobrego serca pani, obronić ją może od ostatniego zepsucia i zejścia na złą drogę.

— Na opiekunki *Przytuliska* zaproszonymi zostały panie: Czarnomska Marya, Fuchs Marya, Szwede Emilia, Szwede Katarzyna, hr. Wielopolska Marya, Balbina Zalewska.

— W Wiedniu zawiązała się spółka pań

z celem zbytu ręcznej pracy kobiecej bez pośrednictwa osób trzecich, którym częstokroć dostaje się większa, niż robotnikom, część zysku.

— We wsi Świątnikach pod Sandomierzem mieszka z dziada pradziada tam urodzona Anna Modrasowa, która więcej, niż sto dzieci nauczyła czytać i pisać, nie biorąc za to od nikogo ani grosza. Ona jedna między kobietami wsi swojej pisać umie i jest wielką miłośnicą czytania gazet, jak pisze Jan Modras zapewne krewniak jaki jej męża, Wojciecha Modrasa, którego także pisać nauczyła. Ten Jan Modras dodaje, że Wojciechowa chodzi co Niedziela o milę drogi do kościoła i zarazem przynosi ztamtąd od wójta *Gazetę Świąteczną*, którą potem czyta ludziom głośno. Postawmy sobie tę postać kobiety w takim już punkcie perspektywy, któraby oddała nam jej kształt, uchwycony w oderwaniu od ciasnego tła wioskowego i pomysłmy: czy to nie zarys na wyższą kobietę—na rozświecicielkę ciemności?

— Dzienniki Paryżkie wymieniają między najlepszymi portrecistami tegorocznej wystawy pannę Annę Bielińską. Pierwsze wpośród nich miejsce, zajęte przez kobietę, przyznają pannie Abbe-ma za portret jej ojca, drugie Bielińskiej za własną jej postać, przedstawioną wśród pracowni z pędzlem w ręku. Ubiór bardzo skromny i prosty; zwykła bluza malarska z czarnego merynosu. Do najwybitniejszych na wystawie dzieł kobiecego pędzla zaliczają „Pogrzeb Beatryxy” pani Laury de Chatillon, oddany na podstawie słów biografy Dantego: „Kondukt przebywał plac dei Signori i oto on, siedzący w oknie z przyjaciółmi, dowiedział się, że umarła ta, która była jego natchnieniem.” Portretowane najstarsze mury starych gmachów, kostiumy i cała historyczna dekoracja obrzędu stawiają ten obraz w rzędzie sztuki wyższej. Zaznaczono pochwalnie w sprawozdaniach specjalnych dwadzieścia cztery kobiety malarki.

— Na ostatnim zebraniu paryżkiej Akademii Medycznej dr Dujardin-Beaumez wygłosił rozprawę, dowodzącą, jak dzisiejsza edukacja kobiet źle oddziaływała na ich fizyczność, jak przeciążenie mózgu przez nieodpowiednie dla kobiety gałęzie nauki sprowadza następnie osłabienie naturalnej bystrości ich umysłu, ich inteligencji, tak, że dzisiejsze nauczycielki stoją niżej pod względem użyteczności edukacyjnej od dawniejszych—mniej, ale lepiej uczonych. Jest przytem we Francji zawiele już nauczycielek. W samym Paryżu znajduje się ich, z patentami wyższymi, 4,171, gdy tymczasem wedle danych statystycznych doroczne wakanse nie przechodzą liczby stu miejsc.

— Silną jest konkurencya, którą praca kobiety na Zachodzie Europy wytwarza pracy męskiej, i ztąd nierazko spotyka się ona z gniewnie stawianym jej odporem: to też dzienniki angielskie podają jako fakt pocieszający, że zecerowie londyńscy nie wystąpili wrogo przeciw zecerkom, których liczba zwiększa się coraz, a nawet, przeciwnie, Londyńskie Stowarzyszenie Zecerów uchwaliło wniosek, że przyjmuje chętnie kobietę do koleżeństwa swego i braterstwa pracy, z warunkiem przecieź, aby nie zniżała cen zarobku, podejmując się roboty na warunkach zapłaty niższej, niż pobierana obecnie przez mężczyznę. To też—to zadawanie się kobiety zarobkiem mniejszym, byle tylko znaleźć robotę stałą, jest przyczyną brutalnego nieraz przeciw niej występowania męzczyzny a w dalszym ciągu najniebezpieczniejszego zatargu między pracodawcami a robotnikiem. Pismo nasze podało obszernie w tym kierunku wywody francuzkiego ekonomisty, Artura Mangin. Nietylko pod względem moralności rodzin, ale pod względem kwestyi socyalnej prawdą się okazują słowa Michelet'a: „Robotnica! wyraz przeklęty.”

— Mis Simcox podaje, na ostatnich wykazach statystycznych opartą, liczbę robotnic w An-

glii. Przeszło trzy miliony kobiet i dziewcząt pracuje w przemyśle, gdy ledwo połowa tej liczby przypada na robotnicę, zajętą w rodzinach i u ogniska domowego. Faktem jest, że połowa rodzin ludowych utrzymuje się przeważnie z pracy kobiecej, której zarobek — wyjąwszy w Londynie—jest tak niezmiernie małym, że jak się wyraża Mis Simcox „możnaby pomyśleć, iż to jest praca dla zabawki, a nie dla utrzymania życia.” Dzienniki angielskie, szczególnie *British Weekly*, wciąż poruszają tę palącą w Anglii kwestyą fabrycznej pracy i zarobku kobiety, z którą się łączy inna—tak straszne skutki wydająca w Belgii. Jest też w Anglii garść ludzi dobrej woli, którzy chcą skorzystać z jubileuszowego roku królowej, aby ta ważna sprawa między kapitałem a pracą została uregulowaną na podstawach słuszności i uczciwości publicznej. Niech cena pracy kobiecej podniesie się należycie, a natychmiast wróci zachwiana obecnie równowaga ekonomiczna i moralna — ta praca przestanie wypierać na rynkach przemysłu pracę męską, przestanie być jej rywalką. Robotnik, nie podkopywany przez nią, znajdzie zaofiarowań więcej i w następstwach musi przyjść układ rzeczy słuszniejszy, słuszniejszy rozdział zysków między interessowanymi stronami. Jubileusz królowej Wiktoryi stałby się przez to wielką datą w rocznikach społecznej historii Anglii. Cała serya konferencyi w tym przedmiocie odbywa się obecnie w Londynie; przyduje tu ekonomista Stuart, współpracują z nim Walter Besant, miss Simcox i Jerzy Stead.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 10-ty powieści pod tyt: **Konieczność**, przez M. E. Braddon.

ZBIOROWE WYDANIE PISM

GABRYELLI

(Narcyzy Żmichowskiej)

w 5-ciu tomach.

Największym talentem kobiecym w literaturze naszej jest bez przeczenia Żmichowska. Przed czterdziestu laty zabłysła odrazu, jak świetny meteor, w **Pogance**—i odtąd już czytano wszystko, co z pod pióra jej przez dwadzieścia lat wychodziło. Słusznie nazwano Żmichowską dopełnieniem trójcy wielkich poetów naszych: była ona jednym z tych świąteł niebieskich, które się naokoło wielkiej plejady ugrupowały, aby blask jej zwiększyć.

Poetyczność Żmichowskiej była jednym z rzadkich zjawisk duchowych. Poetką była autorka **Poganki** we wszystkim, co napisała w epoce swej twórczości. Prześlizgnąca jej forma służy zawsze wiernie obfitej, bogatej, myślącej i do myślenia pobudzającej treści. Przez pisma jej wieje duch filozoficznego niepokoju o świat, o ludzkość, o to, co jej w ludzkości najbliższym było. Pod powiewem tego ducha drży ustawicznie zagadka bytu człowieczego na ziemi; myśl dobija się niecierpliwie do świątyni, w której czuje zamknięte tajemnice przyszłego rozwoju. Zaprawdę, wyższy niepospolity talent—a dość go poznać, aby go uczyć, jak na to zasłużył.

Zbiorowe wydanie pism znakomitej autorki zawiera w sobie poezye i powieści **Prządki, Maina i Kościej, Danko z Jawuru, Capriccio, Wstępny obrazek, Poganka, Książka Pamiątek, Biała róża, Czy to powieść? Kasia i Marynka. List nie wiem czy i do kogo, Adeodat, Kwestya podrzędna, Wstęp do Pism Hofmanowej—Artykuły o wychowaniu.**

Zbiorowe wydanie pism Gabryelli

składa się z pięciu tomów. Cena wszystkich pięciu tomów wynosi **rs. 5.**

Nabywać też można kolejno tomami:

W Warszawie po rs. 1, z przesyłką r. 1 kop. 10.

TREŚĆ: Z cyklu „Nad głębiami”, poezya, przez El...y.— Księżna Jadwiga z hr. Zamoyskich Leonowa Sapieżyna, (dokończenie).— **Pogawędka.** — Na ruinach, powieść, (dokończenie), przez Zygmunta Sarneckiego. — List z Włoch. — Dramata konkursowe, II, (dalszy ciąg). — **Kronika działalności kobiecej.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 10-ty i powieści pod tytułem: **Konieczność**, przez E. Braddon. — 28 wzorów ubiorów i robót z opisem Sekretu gospodarskiego. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

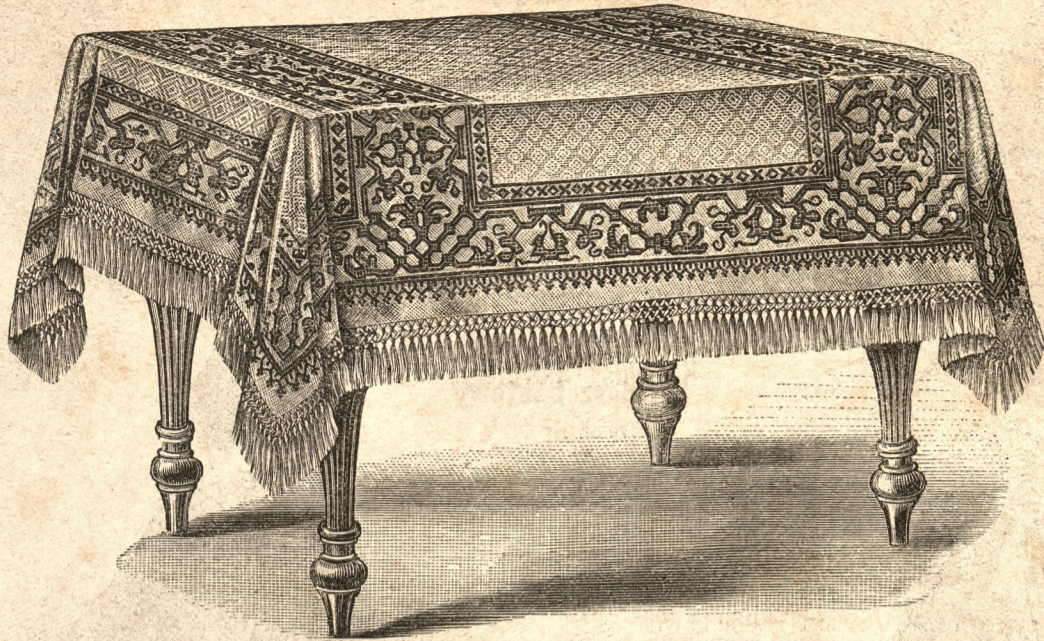
Дозволено Цензурою.—Варшава, 20 Мая 1887 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Desenik na rozmaite roboty.

Rycina Nr 9 i 10 w Blu. Nr 21.

Deseniki ryc. 9 i 10, mogą być wykonane kordonkami na płótnie średniej grubości, jako tło, lub jako rzucik. Dla wykonania ryc. 9, należy przede wszystkim pokratkować płótno kolorowym kordonkiem, licząc po 10 nitki tkaniny na każdą kratkę, następnie zaś płaskim ścięciem wykonać podługowate groszki ukośne, w punkcie połączenia nitki stanowiących kratkę. Desenik ryc. 10 złożony jest z jednostajnych rzucików, płaskim ścięciem wykonanych, a połączonych w rzędy podług ryc.



Nr 1. Serwetka na stół ogrodowy krzyżowym i Holbeina ścięciem. (Do ryc. 2 i 3).

Serwetka na stół werendowy lub ogrodowy krzyżowym i Holbeina ścięciem.

Rycina Nr 1 do 3.

Serwetka z szarej tkaniny w adamszkowy desen, ze szlakami kanwowymi, na których wyko-

nany jest haft pasową i szafrową bawełną, sparszoną poprzednio, ażeby w praniu nie puszczała. Desen na szlaki haftowane przedstawiają ryciny Nr 2 i 3. Cała serwetka, nie licząc frendzli, ma 186 cent. długości, a 146 cent. szerokości.

ków w ząbki i gładkich, połączona jest z rondkiem z czarnej cienkiej słomki, wysokiem z lewego boku 11 centymetrów, z prawego zaś boku 7 centymetrów.

Kapelusz z pleśni włosianej i słomki.

Rycina Nr 5.

Kapotka z białej pleśni włosiennej i żółtych słomianych sznureczków, na podstawie z drutu ułożona, z pomiędzy denka i główki wychodzi sterzące w kształcie pióra przybranie z przymarszczonej pleśni, spiczasto zakończone i na rondku zamocowane.

Kapelusz słomkowy „Bo-lero“.

Rycina Nr 6.

Główka tego kapelusza 13 i pół centymetrów wysoka, poseszywana z białych galoników z czarnej cienkiej słomki, wysokiem z lewego boku 11 centymetrów, z prawego zaś boku 7 centymetrów.



■ pier. (najci), * drugi, □ trzeci □ czwarty (najj.)
 bronz, ■ pier. (naje), □ drugi, □ trzeci, □ czwar.
 (najj.) niebieski, □ ciemno-pasowy, □ jasno-pasowy, - tło. Nr 4. Szlak robotą krzyżową.

Nr 2. Desen na serwetę ryc. 1 krzyżowym i Holbeina ścięciem.

Nr 3. Desen na serwetę ryc. 1.

Kapelusz z włosianej pletni i słomki

Rycina Nr 10.

Główka tego kapelusza, z czarnej pletni włosianej i szarej słomki, 16 cent. wysoka, podszyta jest czarną lustryną, rondko zaś czarnym tiulem i cienkim czarnym drucikiem. Duża kokarda z wstążki szarej, 6 i pół centim. szerokiej i cztery pióra strusie, z których dwa czarne, a dwa szare i sterząca egretka, uzupełniają kapelusz podług ryciny.



Kapelusz bastowy.

Rycina Nr 11.

Kapotka z bastowej pletni koloru surowej gliny, z odwiniętym w środku rozwartym rondkiem z basty i słomkowego sznura. Kokarda z wstążki koloru basty i stalowo niebieskiego, tudzież sterzący pęk piór strusich uzupełnia przybranie tego kapelusza, wiązane pod brodą, na stalowo-niebieskie wstążki.



Nr 11. Kapelusz z basty.

Kapelusz z angielskiej słomki.

Rycina Nr 12.

Kapelusz z brązowej angielskiej słomki, rondko w kształcie daszku wystającego na przodzie, przybrany brązowym aksamitem i kokardami z wstążki brązowej w dwóch cieniach.

Kapelusz z przezroczystej pletni.

Rycina Nr 13.

Kapelusz z lyczka rzadko plecionego, obszyty z tyłu i w około główki takimże galonikami. Rondko pokryte jest ukosem brązowego aksamitu, ułożonym w dwie fałdy i stanowiącym jednocześnie podszycie; kokarda z brązowej wstążki i gazy przerabianej jedwabiem, oraz duży bukiet z tureckiego bzu, uzupełniają kapelusz podług ryciny.

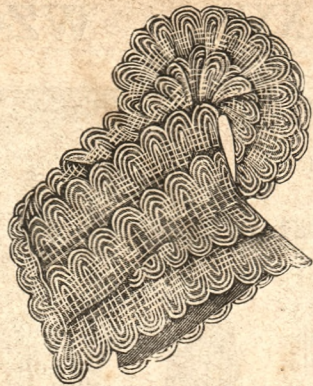
Mantyka z repsu „ottoman“.

Rycina Nr 16.

Mantyka ta zrobiona jest z czarnego repsu „ottoman“, na podszewce z pasowego „surah“, przyozdobiona czarnymi koronkami i galonikiem dzietowym, tudzież sznurami z czarnych perełek, podług wskazania ryciny.



Nr 14. Suknia z zefiru. Plecy. (Do r. 2 w Bl. Nr 21). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr 1, fig. 1-9.



Nr 5. Kapelusz z galonu włosianego i słomki.



Nr 8. Paltocik dla chłopczyka od 5 do 7 lat. Przęd. (Doryc. 8 w Bl. Nr 21). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 49-55.



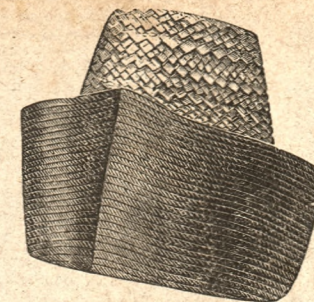
Nr 7. Ubranie dla chłopczyka od 4-6 lat. Krój i opis pier. str. tab. Nr III, fig. 20-28.



Nr 16. Mantyka z repsu ottoman.

Nr 17. Mantyka z jedwabnego repsu.

Nr 18. Paltocik z satin-merveilleux.



Nr 6. Kapelusz „Bolero“.

Mantyka z jedwabnego repsu.

Rycina Nr 17.

Mantyka z tyłu krótka w kształcie dużego kołnierza, zakończona z przodu długimi końcami z repsu i koronki. Frendzla dzietowa i sutka kokarda z czarnej atlasowej wstążki, uzupełniają mantykę podług ryciny.

Paltocik z satin-merveilleux.

Rycina Nr 18.

Paltocik wcinany z czarnego satin-merveilleux, na kolorowej jedwabnej podszewce, przyozdobiony dzietowymi pasmanteryjnami plecami i takąż kamizelką, tudzież naramiennikami zdżetu, wreszcie odpowiednim galonem, zakończonym frendzelką z pereł spadającą na szeroką koronkę, którą paltocik jest obsyty u dołu i z której także zrobione są krótkie rękawki.



Nr 9. Sukienka z okrywką dla dziewczynki od 3 do 5 lat. Przęd. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 45-48. (Do ryc. 7 w Bl. Nr 21).

Koronka szydełkową robotą.

Rycina Nr 20.

Koronka z krętej bawełny Nr 60, wykonana na założeniu z 26 oczek w kierunku założenia. Kolej 1: 6 oczek opuścić, 1 słupek w następnym ocz., 2 razy naprzemian: 1 pow. o., 1 sł. w drugie z rzędu ocz., poczem 3 o. pow., 2 słup. po każdym 3 pow. ocz. w 3 z rzędu ocz., 2 razy naprzemian: 3 pow. ocz., 2 sł. w piąte z rzędu ocz., po każdym 3 pow. ocz. Kolej 2: 4 pow. ocz., 3 ścis. o. w kolejne 3 pow. ocz. każdym 4 pow. ocz., 3 pow. ocz., 2 razy naprzemian: 4 ścis. ocz., po każdym 4 pow. ocz. w 2 z rzędu 3 pow. ocz., 3 pow. ocz., 1 słup. w drugi z rzędu sł. 3 razy naprzemian po 1 pow. ocz., 1 słup. w drugie z rzędu ocz. Kolej 3: 4 pow. ocz., 1 słupek w 3 z rzędu ocz., 2 razy naprzemian: po 1 pow. ocz., 1 słup. w 2 z rzędu ocz., poczem 3 razy naprzemian po 3 pow. ocz., 2 sł. po każdym 3 pow. ocz., w środkowe oczko z 4 o. pow., rozdzielających 4 ścis. ocz. Kolej 4 jak 2. Kolej 5 jak 3, poczem 2 pow. ocz., 10 słup. z których środkowe dwa rozdzielone 4 pow. ocz. w 4 pierwsze pow. ocz. poprzedniej kolej, 1 ścis. o. w pierwsze 4 pow. ocz. 2-tej kolej. Kolej 6: 3 o. pow., 5 słup. w kolejne 5 słup., 6 słupków których środkowe dwa rozdzielone 5 pow. ocz., 5 słup. w następnym 5 słup., 1 słup. w najbliższe 2 pow. ocz., 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w następnym 3 pow. ocz., poczem jak 2 kolej. Kolej 7 jak 3, poczem 3 o. pow., 1 słup. w kolejny słup., 4 razy naprzemian



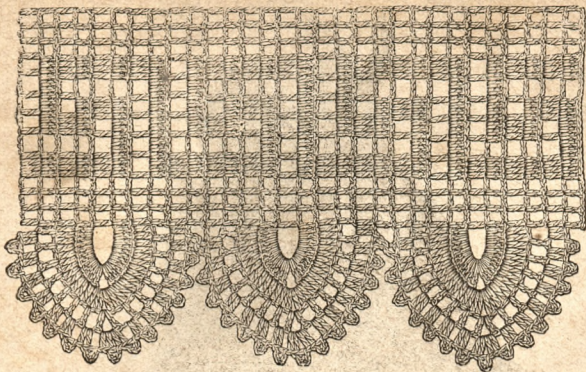
Nr 13. Kapelusz z przezroczystych galonów.



Nr 12. Kapelusz z angielskiej słomki.

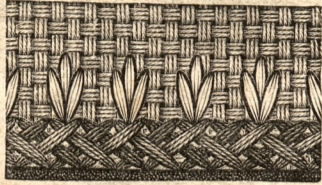


Nr 15. Suknia z gładkiego i w pasy materyału. Przęd. (Do ryc. 16 w B. Nr 21) Opis odwr. str. tabl.



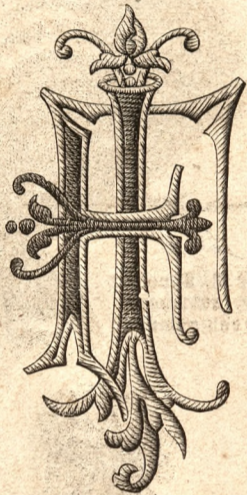
Nr 19. Koronka szydełkową robota.

po 2 pow. ocz., 1 sł. w 2 z rzędu ocz. poczem 2 pow. ocz., 2 słup. w środkowe o. 5 pow. ocz., po każdym 5 pow. ocz. 2 pow. ocz., 1 słup. w najbliższy sł., 4 razy naprzemian po 2 pow. ocz., 1 słup.



Nr 21. Szlaczek do serwet ścięciem pocztowym

w drugie z rzędu ocz., 2 pow. ocz., 1 ściśle oczko w pierwsze ocz. założenia. Kolej 8: 3 pow. ocz. 1 słup. w drugie z rzędu 2 pow. ocz., 4 razy naprzemian: 1 pikot (to jest 5 pow. ocz., 1 ściś. oczko w pierwsze z nich) 1 sł. w następujące 2 pow. o. poczem 1 pik., 2 słup. po każdym 1 pik., 5 razy naprzemian: 1 pik., 1 słup. w najbliższe 2 pow. ocz., poczem 4 pow. ocz., 1 ści. ocz. w 2 z rzędu 3 pow. ocz., poczem jak 2 kolej. Kolej 9 jak 3; odtąd należy powtarzać ciągle 2 do 9 kolei, spajając przytem koronkę podług ryciny.



Nr 26. Znak do bielizny

Serweta na stół atłaskiem, tudzież ścięciem Holbeina i pocztowym.

Rycina Nr 22

Serweta złożona ze wstawki 18 cent. szerokiej klockową robota wykonanej i z dwóch szlaków z grubej kanwowej tkaniny, z ażurowymi brzeżkami, na których wykonany haft pasowaj i szafirową bawełną, atłaskiem, oraz ścięciem Holbeina i pocztowym. Sam brzeżek zahaftowany jest w ząbki podług ryc. 23. Połączywszy wszystkie 3 części serwetki należy takową obszyć koronką klockową 3 cent. szeroką.

Poduszka do podróży.

Rycina Nr 25.

Poduszka 40 cent. długa, a 30 cent. szeroka, z pasowej bai, na której wyhaftowana jest gałązka kwiatów niebieską, cegląstą i oliwkową włóczką, oraz żółtą filozelą. Do trzymania poduszki zrobiona jest rączka skórzana w baję obszyta, 16 cent. długa.

Przepisy gospodarskie

Likier francuzki zwany „Chartreuse“.

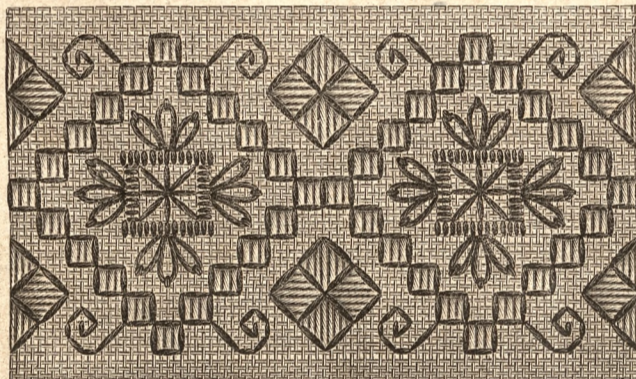
We Francji wszystko ważą na gramy czyli na kilogramy, waga dziesiątka kilograma ma 1,000 gram, a naszych funtów 2 łutów 12, czyli ponieważ 1 funt



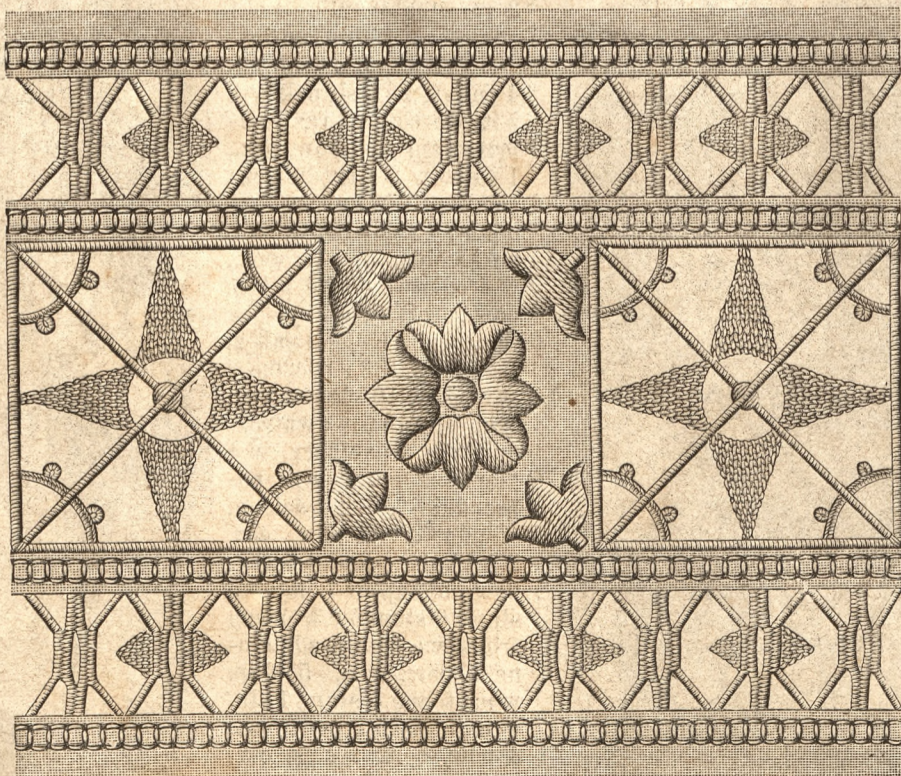
Nr 22. Serwetka na stół ścięciem Holbeina, pocztowym i atłaskiem. (Do r. 23 i 24).



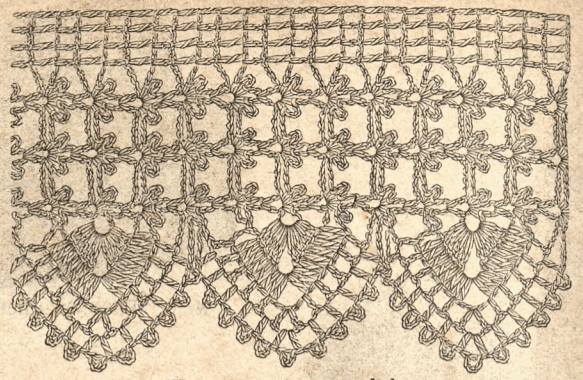
Nr 25. Poduszka do podróży.



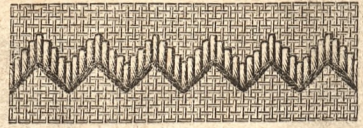
Nr 24. Szeroki szlaczek do serwety ryc. 22.



Nr 23. Szlak do serwet, ręczników płaskim haftem i robota wywlekaną.



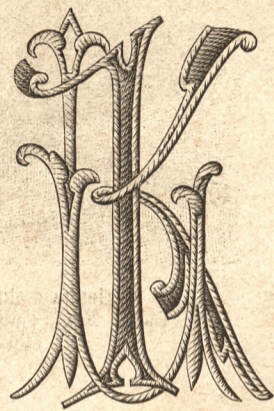
Nr 20. Koronka robota szydełkową.



Nr 23. Wążki szlaczek do serwety ryc. 22.

zawiera łutów 32, więc razem łutów 76 — łut więc nasz ma 13 gramów.

Muszę więc w obecnym przepisie posługiwać się wagą francuzką. Kolendru gramów 14 czyli prawie nasz jeden łut, anyżu gramów 2, mięty pieprzowej gramów 2, szaflwi gramów 2, angielski czyli po polsku mówiąc „dzięglu“ gramów 4, szafranu gramów 2. Wszystkie korzenie namoczyć w pół kwarcie spirytusu próby 90%, szafran oddzielnie w kieliszku spirytusu, bo razem moczony robi essencją mętną. Zostawić to w spokoju w cieniu na dziesięć dni. Po dziesięciu dniach wziąć 8 funtów cukru, najwyżej można brać do 10, na każdy funt wlać kwaterek, czyli szklanek zwyczajną wody, zrobić syrop gotując krótko, żeby się nie wygotował, bo w likierze skryształizuje się — naturalnie wyszumować,



Nr 27. Znak do bielizny.

w gorący lać 3 i pół kwarty spirytusu, powoli mieszając, żeby się sam klarował białkiem zawartem w cukrze, wlać w końcu przez muślin gęsty ów spirytus z korzeni i z szafranu, wymieszać, a gdy wystygnie pozlewać w butelki i używać dopiero za trzy miesiące; będzie czysty jak lza bez filtrowania, gdyż na spodzie sam się ustoi po trzech miesiącach — nie tak dobrze nie klaruje jak czas.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rakowa bez śmietany (bisque) d'écrevisses.
2. Sztukamięsa z szczypiorkowym sosem.
3. Budyn ze szpinaku.
4. Pieczeń barania z kompotem ze śliwek greckich.
5. Budyn czekoladowy.

U W A G A.

Opis ryciny Nr 19 i 28 podamy następnie, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dołączonej do zeszłego numeru.

GOSPODARSTWO MIEJSKIE I WIEJSKIE.

Pogawędka gospodarcza.

Bulion restauratora Krzyżanowskiego. — Produkcya jaka być może w tym kierunku. — Gospodarstwo kurze i nabiałowe. — Co powinny gospodynie robić i co produkować? — Ser. — Pierniki muzeum pszczelniczego. — Włoszczyzna suszona. — Barszcz za 3 grosze. — Konserwowanie wisiem i ogórków.

Są zwolennicy i przeciwnicy bulionu. Otóż pragnę tę kwestyę wyczerpać w dzisiejszej mojej pogawędce. W jednej z naszych najlepszych restauracji pana Krzyżanowskiego, wprost Saskiego placu, podano mi temi dniami filiżankę bulionu, którego smak sprawił, że zachciała się dowiedzieć, z kąd pochodzi? odpowiedziano mi, że własnego wyrobu. Jest na sprzedaż, ale tylko w małej ilości i to drogi, bo po 3 ruble funt. Spróbowałam i znalazłam tak smacznym, że jadłam go kawalkami, jakkolwiek było to już po obiedzie, a można powiedzieć, że rozpląwał mi się w ustach. Pan Krzyżanowski robi bulion z czystego wołowego mięsa, z cielęciny, z drobiu i znacznej ilości zwierzyny, nie używając wcale, jak to czynią niektórzy, nóg wołowych, ani nawet cielęcych, przez co klej znajdujący się wtedy w bulionie, nie pozwala mu się tak łatwo rozpuszczać. Buliony wyrabiane w Cesarstwie, zwłaszcza w okolicach, gdzie jest mnogość mięsa baraniego i zarazem nóżek baranich, bywają trudno rozpuszczalne, twarde i nie smaczne. Nogi baranie obfitują więcej niż wszelkie inne w klej, który bywa używany do wyrabiania stolarskiego kleju. Żelatyna zaś wyrabia się z nóżek cielęcych, otóż panie gospodynie wyrabiające bulion na sprzedaż, nie raczą zwrócić uwagi, na powyższe moje wskazówki.

Bulionu nie należy nigdy solić, gdyż nie staje się dobrze, a pan Krzyżanowski nie używa nawet wcale włoszczyzny, przy użyciu której bulion kwaśnieje. Bulion pana Krzyżanowskiego jest zdrowy, mączny i niewątpliwie znajdzie uznanie na wysawie higienicznej.

Powiedziawszy tyle o bulionie, zwracam uwagę gospodyni wiejskich na ten produkt, dobrze się opłacający, bo dobry bywa drogi płatny. Należałoby wyparować od nas ten lichy po 60 kop., nieraz ze z samych nóg robiony, więc jak wspominałam, posiadający głównie klej. Nie wszędzie są takie warunki, aby się mógł wyrób bulionu opłacać, przecież nieraz i za bydło starsze kupcy ofiarują zbyt niską cenę i wtedy użycie mięsa na bulion opłacać się może. Gdzie są kury przestające się już niesć, pięcioletki (patrz: „Kurs gospodarstwa dla kobiet“) gdzie się biją cielaki, lub gdzie w miasteczkach rzeźnicy biją dużo mięsa i sprzedają je za bezcen, należy okoliczności te wyzyskać, produkując co można. A można wiele byle chęci były po temu, a lenistwo nie brło góry nad potrzebą zarobku. Jest u nas wiele takich gałęzi gospodarstwa zyski, jak na przykład przerób lnu, konopi, więc trzeba się chwycić każdej, która coś w korzyści przynieść może. Wyciągamy więc korzyści z tego co może mieć zbyt zagraniczny jak jaja, masło, czyli chów krów, kur (patrz: „Sposoby“, obszerny rozdział w kursie gospodarstwa dla panien) — produktów takich jak jaja i masło, nigdy nie ma za wiele; przy gospodarstwie nabiałowym szerokie pole ma wy-

rób rozmaitych gatunków sera, a choćby produkując masło, gdzie nie można zaprowadzać fabrykacji serów ze słodkiego mleka; zostają różne gatunki serów ze zbieranego mleka, na sposób włoskiego parmezanu (patrz: „Jedynie praktyczne przepisy“, wydanie 12).

Muzeum pszczelnicze, które usiłuje, aby wyrabiane w jego zakładzie produkta miodowe, były możliwej dobroci, wyrabia obecnie nowe pierniki higieniczne, słodowo-miodowe, które zapewne znajdują miejsce na Wystawie higienie cznej. W smaku są wyborne, a co więcej wpływają na trawienie, ale zawsze wotujemy przeciw opakowaniu pudełkowemu, które niepotrzebnie podnosi cenę produktu.

Z innych gospodarczych wiadomości dowiedziałam się nie dawno, o założonej w Radomiu fabryce suszonej włoszczyzny, która się bardzo dobrze przedstawia i jest już dawno w handlu, spotkałam ją w stowarzyszeniu spożywcem „Merkurego“. Założycielem jest pan Zieleniecki, cena nie wysoka, a teraz na wiosnę, gdy coraz trudniej o świeżą, dobre oddaje usługi; dobrze ją nawet zawsze mieć w domu, gdyż włoszczyzna tak ciągle jest w kuchni potrzebna, a częstokroć nie ma się pod ręką świeżej — zawsze dobrze ją zastąpi.

Jest i barszcz suszony fabryki pana Lasockiego ze Starego-Miasta — paczka takiego barszczu, dającego wyborny kwas z żutniego barszczu, ze smakiem i solą, zastosowana do kwarty wody — kosztuje 1½ kopiejki.

Nareszcie skorzystano z mego wydoskonalonego przepisu na kawior (Jedynie praktyczne przepisy) i produkują go w Warszawie; jest wprawdzie drobny, ale wyśmienity i dziś o wiele lepszy od astrachańskiego, a o trzecią część tańszy, funt 1 rs.; dostać go można w składzie kolonialnym I. Rokowskiego, Nowy-Swiat Nr 68.

Jeszcze coś; — nie długo będziemy mieli wiśnie, więc dowiedzcie się panie sposobu, jaki w Anglii wymyślono dla konserwowania wisiem. kładą je zupełnie dojrzałe i świeże z drzewa zerwane do butelki, korkując mocno i zakopując dość głęboko w ziemi, w ogrodzie. Wyjęte około Wielkiejnocy, mają podobno wyglądać i smakować jak świeże, o czym z łatwością może się przekonać każdy, kto posiada owocowy ogród.

Jeszcze jeden angielski sekret: Na Boże Narodzenie należy do zwyczaju narodowego, podać przy stole świeże ogórki; używają więc do utrzymania ich następnego sposobu: Świeże zielone, nie zbyt przestające ogórki, smarują białkiem nie rozbitem, następnie obsuszają w przewiewnym miejscu, obeschnięte obwijają w angielską bibułkę (ja radzę lepiej w papier albuminowy) i chowają w suchej, chłodnej piwnicy, układając na półce zdala jeden od drugiego.

Drugi sposób używany z korzyścią, jest następujący: Świeże ogórki ułożyć w kamienny słój, przesypując czystym suchym przesianym piaskiem — przykryć szczelnie pokrywą i zakopać w ziemię na dwie stopy głęboko — w suchym miejscu, tak jednak, aby mróz nie miał przystępu. Oba te sposoby są tak łatwe, szczególnie pierwszy, że mam nadzieję, iż czytelniczki moje wypróbują go i na kolędzie przysła mi rezultat swych doświadczeń.

L. O.

Wyrabianie masła za pomocą centryfugi i zużytkowanie pozostałego mleka.

Od paru lat większe gospodarstwa rolne posługują się, przy wyrobie masła, centryfugą — której opis wraz z ryciną, podaliśmy w roku zeszłym w piśmie niniejszem, dziś chcemy poznać czytelniczki z procesem robienia masła, za pomocą centryfugi, która w parę godzin po wydojeniu krowy, daje masło bardzo smaczne, podając niniejszy artykuł pani Pagowskiej.

Centryfuga, nie jest to żadna maszyna do wyrabiania masła, jak mi się to zdarzyło już dość często wyprowadzać z błędu gospodynie. Centryfuga, jest to nie wielka maszyna, która służy do oddzielania śmietanki od mleka, dzieje się to zapomocą szybkiego obrotu, z rezerwoaru gdzie się wlewa świeżo udojone mleko, przechodzi za pomoca pary ogrzanej od 22 do 25 stopni Reaumura, w centryfugę rurą, której obrót wynosi 6000 razy na minutę — w tej są dwa otwory: jednym odchodzi mleko chude, drugim śmietanki, którą chłodzi się zaraz, przelewając ją na chłodnik Lawrence'a, aby jak najprędzej ostygła, gdyż od tego zależy dobroć masła następnie stawia się na parę godzin do piwnicy, gdzie się chłodzi lodem do 17 stopni Reaumura, poczem wlewa w maszynę. Używana jest zwykle beczka leżąca ze śmigami i w tej wyrabia się masło — urządza się zaś zwykle w połączeniu jedna robota z drugą, aby parę jednocześnie zużyć, na przykład: ranna śmietanka przerabia się popołudniu, popołudniowa zaś z rana. Masło jest nader smaczne, ma też chętnych nabywców, przez to, że za pomoca centryfugi wyrabia się większe ilości, masło jest jednolite, co dla odbiorcy rzecz bardzo ważna. Z pozostałego chudego mleka można wyrabiać sery, lecz te nie przedstawiają zbyt wielkich korzyści, gdyż trudny ich zbyt — najlepiej więc zużyć mleko do tuczenia trzody chlewnej — małe mianowicie prosięta, nader szybko wyrastają, a dla swej białości chętnie bywają kupowane. Cielętom pierwszy tydzień dawałam tylko mleko od krowy, w drugim do połowy przymieszane od centryfugi, a w trzecim przeszły zupełnie na mleko odtłuszczone, które prosto z centryfugi dawane cielętom; chętnie bardzo piją, gdyż jest wstanie letnim.

Centryfuga z 1,200 litrów mleka, oddziela śmietanę w trzech godzinach i daje 100 funtów masła; 12 litrów mleka potrzeba na 1 funt masła. Krowy powinny dostawać paszę pożywną, przynajmniej 2 funty kuchów lub ospy pszennej na sztukę, z jałowej paszy będzie masło jałowe suche, kruszące się i nie smaczne. Większym dominium z łatwością by przyszło zaprowadzić centryfugę, a mniejsze znalazły by zbyt mleka; im więcej się przerabia, tem taniej wypada produkcya masła, gdyż obsługa jedna.

Najkorzystniej wypada w prowadzić w bieg centryfugę za pomoca pary, gdyż daje regularny obrót — używają także do obrotu manęru konnego, który jest przy urządzaniu o wiele tańszy, lecz nie praktyczny, ponieważ obrót jest nie równy, przez co oddzielanie śmietany nie jest regularne i dużo pozostaje jej w mleku

Potrzebna więc jest do tego mała lokomobila, która do odłączenia 1,200 litrów mleka i zrobienia masła, zpotrzebuje około centnara węgla. Centryfugi okazały się najlepsze systemu W. Lefeldt'a et Lentsch w Schöningen -- dwa średnie lokale wystarczą zupełnie do urządzenia mleczarni.

Dodać jeszcze muszę, iż wieczorne mleko stawia się do chłodnej piwnicy, aby do rana nie skwaśniało i razem z rannem się przerabia, skoro tylko mleko się warzy, to jest: ma trochę kwasu, nie oddzieli się już z niego wszystka śmietanka i trzeba robić zawsze próbę, czy się nie warzy, gdyby był ten przypadek, piwnica jest za ciepła i wtenczas trzeba mleko pozostawiać w spokoju, aby się podstało i wybita śmietaną z siadłego mleka zebrać i do oddzielnej śmietanki z centryfugi na masło dołączyć.

W. Pągowska.

Dynie jadalne i korzyści jakie można z nich osiągnąć.

Zużytkowanie w gospodarstwie dyni, jest mało gospodyniom znane i zdają też zapewne pochodzi ograniczona tychże produkcja w ogrodnictwie naszym. Oprócz doskonałego użytku na paszę dla bydła i trzody, dynia ma rozliczne zastosowania w kuchni, jako jarzyna jadalna.

W Anglii i we Włoszech, gdy zaczynają tylko wyrastać jako młode wypustki lodygowe, używane są jako wyborna jarzyna, która sparzona wrzącą wodą, a następnie usmarzona na młodem maśle, podaje się na stół; innym znowu sposobem podają ją także, gotowaną jak szparagi. Gdy już dynie okwitną i utformują się w owoc, lecz póki jeszcze miękkie i nie mają wewnątrz ziarenk, obrane, pokrajane i duszone w maśle, z przyprawą soku cytryny lub pomidorów, są wybornym sosem do wszelkiego mięsiva. Póki tak są młode a wielkości małej pomarańczy, można je dusić napełnione mięsem zupełnie tak jak galarepę. Trzeba ją obrać ze skórki wierzchniej, przekroić na połowę, wybrać włókna ze środka, napełnić siekanem mięsem baraniem lub wieprzowem, przyrządzonem jak wszelkie mięsne farsze i dusić w maśle podlewając bulionem, a w końcu zaprawić mąką, zupełnie tak, jak faszerowaną galarepę.

We wszystkich południowych krajach przyrządzają kapustę z dyni, w następujący sposób: w połowie dojrzałe dynie, obierają ze skóry dość grubo, a po wybraniu ziarenek i miękkich włókien, szadkują się na szadkownicy i solą zupełnie jak naszą kapustę. Dynie równie jak kapusta puszcza wiele soku z siebie, gdy są szadkowane i solone, po wyciśnięciu więc z wodnistych części, gotują zupełnie tak samo, jak my zwyczajną kapustę, podlewając rosółem lub wodą i octem, dodając dużo cebuli, a w końcu zasmarżając masłem lub słoniną z mąką. Robiłam to sama i znalazłam wyborną. Można zamiast cebuli, użyć trochę śmietany kwaśnej i kopru zielonego, a jarzyna jest wtedy deleko delikatniejsza i bywa podawana do mięsa w pierwszorzędnym restauracjach węgierskich i włoskich.

U nas powszechnie gotują obrane i pokrajane dynie w wodzie na zupę, a po rozgotowaniu zalewają mlekiem, zasypują zacierkami, lub mięszają z oddzielnie ugotowaną na mleku, kaszą jaglaną. We Włoszech pieką w piecach piekarskich dynie póki młode ze skórką, wydrążone z ziarna, lub pokrajane na ćwiartki i również wewnątrz wyczyszczone. Jest to potrawa przystępna dla najbiedniejszej klasy ludzi, tylko my nie umiemy nic zużytkować.

Bardzo dobry także kompot ostry do pieczenia, można zrobić z dyni, zupełnie jak z melonu, gotując ją w occie z cukrem, cynamonem

i gwoździkami. Gdy się pokrajana na kawałki podłużne ugotuje w occie, wyjąć, osączyć na przetaku, włożyć cukru funt na kwartę lekkiego octu, korzeni — wygotować ten sos do połowy, a gdy ostygnie, nalać na osiáknietą dynię ułożoną w słoju. Można także robić wyborną marmoladę z dyni żółtych lepszego gatunku, która ma wiele podobieństwa do morelowej. Również dobre są dynie smarzone w cukrze na konfiturę (patrz: „Jedynie praktyczne przepisy”), lub smarzone w dużych kawałach, jak melon i osuszone, są wyborną suchą konfiturą, zastępującą cykatę.

Spodziewam się, iż przekonawszy się o ty-lorakiej użyteczności tej rośliny w kuchni — pomijając już jako paszy dla bydła, po której krowy bardzo obficie dają mleka, gospodynie wiejskie z zamięłowaniem zajmą się uprawą tej, tak pożytecznej, a mało zachodu w ogrodnictwie zajmującej rośliny.

O pieczeniu legumin.

Wszelkie lekkie leguminy, jak suflety, omlety, leguminy z pianą lub tym podobne rzeczy powinny się stawiać do ciepłego, a nie gorącego pieca i pozostawać w niem od 30 do 45' nawet minut; wstawione do gorącego pieca podniosą się, szybko zrumienią, ale też po wyjęciu z pieca natychmiast opadają i często są z wierzchu rumiane, a od spodu surowe.

Inaczej się rzecz ma z ciężkimi leguminami jak szarlotki z sera, z chleba razowego, z kaszki, ryżu lub tym podobne. Takie potrzebują gorącego pieca i stawiają się zwykle na niższą kondygnację w piecu, aby się od spodu zrumieniły, który właśnie stanowić ma następnie wierzch leguminy. Lekkie zaś, które zwykle robią się na blaszanym półmisku, z którym się podają, stawiają na górnej kondygnacji, aby ogień je z wierzchu złapał, jak to się mówi po kucharsku, a w końcu, gdy już rumiane, stawia się na kilka minut na spód, aby tam nie zostały surowe. Przy ogniu węglowym nie się nie zrumieni, do lekkiej więc leguminy, do palącego się ognia, wystarcza dwa cienkie polana sosnowe, jedno po drugim włożone — nigdy razem, do cięższej leguminy trzy do czterech kawałków dokładanych do węgla, nigdy jednocześnie, ale po jednym po spaleniu poprzedniego.

Rurę od komina w górze, należy zawsze zasunąć w czasie pieczenia czegokolwiek w piecu, gdy zaś nie ma nic w piecu, powinna być zawsze otwarta z dwóch przyczyn: 1) węgle nie wypalają się tak szybko; 2) wszelkie śwędy powstające z blachy wyciąga i te nie przeciskają się do pokoju.

L. C.

Ciastka z rabarbarum.

Zapach, a tembardziej smak rabarbarum, jest dla mało kogo znośnym, pomimo to ciastka rabarbarowe nie zdradzają żadnego przykrego zapachu i są w smaku wyborne. Smak ów jest kruchego ciasta, przełożonego zielonym agrestem, kolor bowiem i kwasek przypomina agrest, ale w smaku miłszy, bo ani pestek, ani włókien nie ma. Na podobne ciasto trzeba zrobić kruche ciasto, lub francuzkie, zwykłej grubości warstwę rozciągnąć na blachę bardzo cienko. Wziąć lodygi korzenia rabarbarum, który w Maju i Czerwcu w bardzo długie pręty się rozrasta, obciągnąć z wierzchniego włókna, pokrywającego lodygę, pokrajać je nożyczkami lub nożem, wrzucić na ukrop, zagotować raz czyli blanżerować, osączyć

z wody, posypać cukrem lekko umieszonym z cynamonem, położyć warstwę przygotowanego rabarbarumna ciasto ułożone na blasze, przykryć drugą warstwą ciasta i wstawić placek w gorący piec, aby wierzchnia warstwa wraz z przełożeniem, prędko się upiekła. Przed włożeniem w piec posmarować wodą różaną z wierzchu i posypać grubo mączką cukrową, a będzie zupełnie jak z cukierni W Anglii na wiosnę, w Maju szczególnie, targi są zastlane lodygami rabarbarowemi i wszyscy pieką ciastka z niemi, zanim są jabłka. Wybornie to zastępuje ten owoc w cukierniczych ciastkach, które czy to z jabłkami, czy z agrestem, tak samo się robią.

Ser śmietankowy.

Wziąć garniec mleka słodkiego, prosto od krowy i kwartę kwaśnej dobrej śmietany, wlać to razem w duży garnek i postawić na noc w ciepłym miejscu, żeby się zsiadło trochę, na drugi dzień ogrzać mocno na kuminie, żeby się serwatka zupełnie oddzieliła (która, mówiąc nawiasem, jest zupełnie biała) wlać w woreczek płócienny i niech powoli zsiąka, a nawet można go lekkim kamieniem przyłożyć, gdy dobrze osiáknietą, przełożyć go w drugi czysty woreczek, wymięszawszy przedtem ser z solą, kminkiem i odrobinną pieprzu, ułożyć pod prasę na noc i na drugi dzień ser gotów, można go używać świeżego, ale dużo lepszy, gdy trochę obeschnie.

Jak zatrudnić pszczoły, robiące szkody w sąsiednich ulach?

Czasami pszczoły posiadają szkodliwy nałóg podbierania miodu u swoich sąsiadek, co często do rozpacz doprowadza pszczolary; otóż pamiętając na to, że praca jest najlepszym środkiem, przeciwko złym namietnościom i nałogom, trzeba dać pszczołom, choćby bezpożyteczne zatrudnienie, na przykład: nasypać piasku i piła wiu przed otworem ula, tak, aby z trudnością mogły z niego wychodzić, a natychmiast zajmąwszy się uprzętaniami wylotu, zapomną złodziejskich wycieczek.

L. C.

KORESPONDENCYA.

Pani A. Z. w Tomaszowie Rawskim.

Prosiemy o adres dla przesłania listu.

Pani Sar. w Woszczowicy.

W roku zesłym daliśmy wcz. amazonek — nic się pod tym względem nie zmieniło. Numer zeszlóroczny posyłamy.

Wydawnictwa L. Cwierczakiewicz.

1. Cokolwiek bądź chcesz wyczyścić, czyli porządku domowe. Cena 40 kop. (Nowa książka).
2. Kurs gospodarstwa wiejskiego i miejskiego dla panien. Cena rsr. 1, kop. 20.
3. 365 Obiadów, (edycya 14) i oprawie rs. 1 kop. 35.
4. Jedynie praktyczne przepisy konfitur, marynat, wędlin, ciast, wódek, likierów, za które autorka nagrodzoną została medaleń srebrnym na Wystawie przemysłowej (wydane 12). Cena rsr. 1 kop. 10.
5. Kolęda dla gospodyń. Kaendarz na rok 1887 (rok 12-ty). Cena 50 kop.
6. Nauka kwiatów bez pomocy nauczyciela z 239 rycinami. Cena rsr. 1.